



Day Leclair



Nie ma tego złego...

Tytuł oryginału: The Royal Wedding Nig

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Księstwo Avernos, Verdonia Tak się wszystko zaczęło...

- Nie. Nie ma mowy. W żaden sposób. Nie zrobisz tego, Miri.

Cokolwiek powiesz czy zrobisz, nie pozwolę ci się w to mieszać.

Zrzuciła płaszcz, odsłaniając suknię ślubną. Lekceważyła jego protesty i nie zamierzała się wycofać. Jej brat przyrodni, książę Merrick, przypominał jej złocistego lamparta. Może wynikało to z faktu, że nie spotkała nikogo, kto byłby szybszy i bardziej zwinny.

- Za późno, Merrick. Już jestem zamieszana.

Kiedy zobaczył jej suknię, zacisnął mocno usta i wbił w nią wzrok.

- Tylko dlatego, że podsłuchiłaś prywatną rozmowę. Do diabła, Miri, jestem szefem Królewskiej Służby Bezpieczeństwa Verdonii. Gdybym przyłapał kogokolwiek innego na tym, co ty robiłaś, wtrąciłbym go do najgłębszego i najciemniejszego lochu. Moja własna siostra!

- Potrzebujesz mojej pomocy - upierała się.

- Posłuchaj, kochanie, to bardzo poważna sprawa. Porwanie kobiety... to może oznaczać więzienie dla wszystkich zamieszanych w to osób.

- No to wyląduję za kratkami!

Rzuciła Merrickowi ciężkie spojrzenie, przywołując na pomoc całą dostępną jej logikę.

- Pomyśl. Zamierzasz porwać księżniczkę Alyssę kilka chwil przed jej ślubem. Nie sądzisz, że pan młody raczej zauważy brak oblubienicy? Potrzebny ci ktoś, kto ją zastąpi przed ołtarzem, żebyś miał czas uciec.

- Kluczowe jest tu słowo „uciec”. Uciekniemy: ja, moi ludzie, nawet Alyssa, chociaż nie z własnej woli. Ty zostaniesz na łasce von Folkego. Jak myślisz, co się będzie działo, kiedy podniesie welon i zobaczy, że nie jesteś księżniczką Alyssą Sutherland, jego politycznym sprzymierzeńcem? A może zapomniałaś już, że von Folke i Lander rywalizują o tron Verdonii?

- Oczywiście, że pamiętam. Ale czy naprawdę sądzisz, że księżę Brandt mnie aresztuje? Wtrąci do więzienia? Jak to by wyglądało na pięć miesięcy przed elekcją nowego króla?

- Von Folke nie będzie zadowolony - odparł Merrick, a po chwili dodał: - co jest eufemizmem roku. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że się na kimś odegra. Nie chcę, by padło na ciebie.

-Brandt mnie nie skrzywdzi. A przynajmniej... nie w sposób, który masz na myśli.

-Nie możesz być tego pewna. Może znaleźć inny sposób, by wyrównać rachunki za kradzież narzeczonej. Nie pozwolę, żeby to ciebie użył w tym celu.

- Ja też na to nie pozwolę. - Stała w kopii sukni ślubnej innej kobiety, drżąc jednocześnie ze złości i z bólu złamanego serca. - Wszystko zaplanowałam. Kiedy pod koniec ceremonii nadejdzie moment unoszenia welonu, odmówię. Poproszę, by mnie zaprowadzono do mojego, czyli Alyssy, pokoju. A kiedy tylko zostanę sama, przebiorę się w którąkolwiek z jej rzeczy i wyjdę.

- Tak po prostu? Uważasz, że nikt cię nie zatrzyma? Nie możesz być aż tak naiwna.

- A czemuż ktokolwiek miałby mnie zatrzymywać? W końcu będę tylko gościem na weselu, a nie panną młodą. Przestań się już kłócić, Merrick. Jeśli nie podoba ci się mój pomysł, to go popraw.

- Nie ma powodu, by cokolwiek ulepszać. Po prostu nie pozwolę ci na to.

- Ależ pozwolisz - zagrała ostatnią kartą - bo w przeciwnym razie opowiem wielkiemu bratu, co planujesz.

- Wciągnęłabyś w to Landera?

- Bez wahania.

- Jeśli mu cokolwiek powiesz, jeśli go w to wmieszasz, straci wszelkie szanse na tron.

- To pozwól mi pomóc. Jeśli twój plan się powiedzie, Lander zasiądzie na tronie. Czyż nie do tego dążysz?

- Nie dlatego to robię - zaprzeczył natychmiast. - Zależy mi jedynie na uczciwej elekcji. A nie ma na to szans, jeśli von Folke poślubi księżniczkę Alysę.

- Dobrze. Oboje robimy to dla dobra Verdonii. Chcę, żeby twój plan się powiódł i tylko dzięki mnie jest to możliwe. No to doszliśmy do porozumienia? Zamieniamy panny młode czy będziesz jeszcze tracił czas na kłótnie?

Przez dobre pół minuty była przekonana, że przegrała.

Potem znenacka skinął głową. Miri odwróciła się w stronę drzwi, ale ją powstrzymał, zanim je otworzyła.

- Nie tak szybko. - Pociągnął ją w głąb pokoju wynajętego domku, dokładnie sprawdzając jej wygląd. - Coś ty zrobiła z włosami?

- Twój człowiek powiedział, że Alyssa jest blondynką. Doszłam do wniosku, że moje przebranie będzie skuteczniejsze, jeśli rozjaśnię włosy.

- Czy zdołasz wrócić do dawnego koloru... potem?

- Tak, bez problemu. Wolisz mnie jako brunetkę?

- Bezapelacyjnie.

Co za ironia. Od chwili gdy jej matka poślubiła ojca Merricka, króla Stefana, pragnęła wyglądać jak reszta Montgomerych, którzy byli wysocy, mocno zbudowani i przystojni, o blond włosach i brązowozłotyach oczach. Jej kruczoczarne loki i jasnozielone tęczówki, tak samo jak fakt, że była księżniczką przez adopcję i nadanie tytułu, a nie z urodzenia, zawsze powodowały, że czuła się jak ktoś obcy. Wyłącznie przy Brandcie miała poczucie, że...

- To może zadziałać - przyznał Merrick niechętnie. - Ze zdjęć, które widziałem, wnioskuję, że jesteś podobnego wzrostu i figury.

- Tym się najbardziej martwiłam.

- Ja nie - odparł ostrym tonem. - Kiedy będziesz się wymykać jako Miri Montgomery, ludzie mogą się zastanawiać, dlaczego rozjaśniłaś włosy, zwłaszcza jeśli cię przyłapią na opuszczaniu pokoju Alyssy.

- Uważasz, że to będzie podejrzane? - Potrząsnęła głową. - Pomyślą sobie, że chciałam być modna, to wszystko. A sam pobyt w pokoju Alyssy... Pomagałam oblubienicy, biedactwu. Poprosiła, by przez jakiś czas nikt jej nie przeszkadzał. Za godzinkę lub dwie dojdzie do siebie. Och, i może ktoś by przekazał wiadomość dla księcia Brandta, że małżonka cieszy się na kolację w jego towarzystwie dziś wieczorem?

- To może zadziałać.

- Zadziałała.

- Nie bądź zbyt pewna siebie, Miri, plan jest daleki od doskonałości.

- No to będę improwizować. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy nieścistości, zwłaszcza dzięki welonowi. Musisz mi dać ten, który ma Alyssa. Jeśli miałabym na sobie inny... coś takiego każda kobieta zauważy.

-Zadbam o to, żebyś go dostała. Wyglądasz... Wyglądasz niesamowicie. Żałuję, że nie jesteś ubrana na własny ślub, tylko na tę farsę.

Jego słowa uderzyły ją. Zmusiła się do niedbałego uśmiešku i miała nadzieję, że głos nie będzie jej drżał.

- Dziękuję ci. Ale do tego potrzebowałabym narzeczonego, nieprawdaż?

Jaka szkoda, że mężczyzna, którego miała na myśli, już nie był nią zainteresowany, pomimo niegdysiejszych obietnic. Merrick wzruszył ramionami.

- Masz dopiero dwadzieścia pięć lat. Mnóstwo czasu na zakochanie się. - Ostentacyjnie spojrzął na zegarek. - Pora ruszać, czas ucieka.

Miri wyszła pierwsza z domku wynajętego przez brata na centrum dowodzenia i usiadła na przednim siedzeniu srebrnoszarego SUV-a. Za nimi grupa mężczyzn usadowiła się w podobnym, czarnym samochodzie. Zdenerwowana, nie była w nastroju do luźnej pogawędki, ale też nie było ku temu okazji. Przez całą drogę Merrick opowiadał jej wszystko, czego się zdołał dowiedzieć na temat księżniczki Alyssy. Po pół godzinie samochody skręciły w wąską, gruntową drogę. Jakaś milę dalej zjechały na zakurzone pobocze.

Nie wyłączając silnika, Merrick odwrócił się do niej i przyjrzał uważnie.

- Posłuchaj, Miri. To nie powinno długo potrwać. Najwyżej dwadzieścia minut. - Postukał palcem w zegar samochodu. - Jeśli nie wrócimy, dokładnie po tym czasie odjedziesz. Prosto na południe, przez Avernos, najkrótszą drogą przez Celestię, do Verdonu. Bez zatrzymania. Nie szukaj mnie. Do nikogo nie dzwoń. Po prostu uciekaj najszybciej, jak potrafisz. Rozumiemy się?

- Tak jest.

- Mówię bardzo poważnie, Miri. Daj mi słowo honoru. Przysięgnij, że jeśli nie wrócę za dwadzieścia minut, odjedziesz bez względu na okoliczności.

Wypowiedzenie tego okazało się najtrudniejsze w jej życiu.

- Przysięgam.

Skinął głową z satysfakcją. Wysiadając z SUV-a, machnął na swoich ludzi. Cała ich czwórka, ubrana w maskującą czerń, naciągnęła kaptury i truchtem ruszyła przez łąkę w stronę niewysokiego grzbietu. Miri wbiła wzrok w samochodowy zegar. Sekundy wlokły się jedna za drugą, aż po godzinie - takie miała wrażenie - zebrało się ich dość na zaledwie piętnaście minut.

Merrick pojawił się na skraju lasu po dziewiętnastu minutach i trzydziestu sekundach. Na rękach niósł kobietę ubraną w srebrną suknię, bardzo podobną do tej, w której była Miri. Na blond włosach miała przekrzywiony welon z mnóstwa tiulu i koronek. Księżniczka Alyssa Sutherland. Oszłamiająco piękna, skonstatowała Miri ponuro. Nieco niższa. To jednak nie powinno stanowić problemu. Właśnie na taką

ewentualność miała przygotowaną dodatkową parę butów. Szybko je włożyła. Otworzyła drzwi i podeszła do Merricka.

- Czas - rzucił. - Nie musisz tego robić. Możesz zmienić zdanie.

- Nie mogę i nie chcę. Mam... swoje powody. Teraz szybko - ponagliła. - Mamy dosłownie kilka chwil, zanim ktoś odkryje jej zniknięcie.

Merrick zdarł kosztowny welon z głowy Alyssy i rzucił go siostrze.

- Zadziała?

- Idealnie. Nasze suknie są niemal identyczne, a welon ukryje wszelkie nieścistości.

Zerknęła niepewnie w stronę Alyssy i przeszła z angielskiego na verdoniański. Wiedziała, że ich ofiara od wczesnego dzieciństwa wychowywała się w Stanach Zjednoczonych. Istniała ogromna szansa, że nie mówi w lokalnym języku.

- Uważaj na nią - ostrzegła. - Wiem, jak reagujesz na piękne kobiety. Ona bez problemu przerobi cię z grizzly na Puchatka.

- Mną się nie przejmuj, myśl o sobie - odparł zaskakująco ciepłym tonem. - W porównaniu z von Folkem i tak jestem pluszowym misiem. Idź już. Prosto przez las, jakieś sto metrów stąd jest kościół. Tuż za otaczającym go murem, w ogrodzie, znajdziesz nieprzytomnego strażnika. Włóż welon i siądź przy nim. Kiedy się ocknie, powiedz mu, że zemdłał. Nagadaj mu, co chcesz, byle tego nie zgłosił.

Skinęła głową, rozumiała w czym rzecz. Szybko ruszyła w las, uważając, by nie rozedrzeć spódnicy na jakimś krzaku. Gdyby nie zdołała dotrzeć do strażnika, zanim się ocknie, jej podstęp spaliłby na panewce i Merrick zostałby schwytany, nie przejechawszy nawet mili.

Dotarła na polanę i zobaczyła jednego z ludzi Brandta rozciągniętego obok kamiennej ławki. Spostrzegła krótką strzałkę sterczącą z jego szyi. Wzdrygnęła się, ale wyrwała ją i rzuciła w krzaki.

Upewniwszy się, że nikt nie spostrzegł zamiany - a przynajmniej nie podniósł alarmu - usiadła i z małej kieszeni wyjęła kilka szpilek. Szybko ułożyła włosy, upodabniając się do Alyssy. Starannie przypięła welon, układając warstwy koronek i tiulu tak, by dokładnie zakryły jej twarz. W samą porę. Strażnik u jej stóp poruszył się.

-Co...

Szybko przykucnęła obok niego.

- Nic panu nie jest? - spytała miękkim głosem, modląc się, by mówić podobnie do księżniczki Alyssy. Czemu nie poprosiła Merricka, żeby skłonił tę kobietę do odezwania się? Miałaby lepsze pojęcie o tym, jaki powinna mieć akcent. Głupi błąd. - Zemdlał pan, nie wiem dlaczego. Czy jest pan chory? Czy powiadomić pańskiego szefa, że stracił pan przytomność?

- Nie, nie, *madam*. Nic mi nie jest - zaprotestował w panice.

- Chyba chcę, żebyśmy weszli do środka. - Wzięła go pod rękę i pomogła mu wstać. Zaczerwienił się jeszcze mocniej. - Na pewno nie potrzebuje pan pomocy? Może powinnam wezwać lekarza?

- Proszę nikomu nie mówić - wyszeptał. - Kosztowałoby mnie to stanowisko w gwardii.

- Och, to by było straszne. - Postarała się, by jej głos brzmiał współczująco. - Zachowajmy to w sekrecie. W końcu nic się nie stało. Jestem tu, cała i zdrowa.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Jestem wdzięczny, że nie próbowała pani uciec - powiedział z ulgą.

Uciec? Zmarszczyła brwi. Dlaczego strażnik miałby podejrzewać Alysę o chęć ucieczki? Chyba że... księżniczka była nader niechętną panną młodą, a strażnik rzeczywiście miał ją na oku. Ale dlaczego? Czy Brandt wymusił to małżeństwo? Zacisnęła powieki w udęcie. Jeśli tak, to dlaczego? Czyżby tak desperacko pożądał korony, że nic innego się dla niego nie liczyło?

Trudno jej było w to uwierzyć. Tak drastyczne posunięcia kompletnie nie pasowały jej do człowieka, którego znała, odkąd ukończyła siedem lat, a jeszcze mniej do Brandta sprzed zaledwie miesiąca, w którym się zakochała.

- Oczywiście, że nie uciekłam - mruknęła. - A dokąd miałabym pójść?

Przekroczyli bramę oddzielającą ogrody od wewnętrznego dziedzińca kaplicy. Od tego miejsca aż do wrót świątyni strażnicy utworzyli umundurowany szpaler. Nie zawahała się ani na moment. Wchodząc do przedsionka, potknęła się, oślepiąca przez mrok wnętrza. Jej towarzysz chwycił ją pod rękę, pomagając odzyskać równowagę.

- Wasza Wysokość?

- W porządku, dziękuję - mruknęła.

Mieniące się pastelowymi barwami tęczy stadko druhen otoczyło ją na moment, po czym szybko zorganizowały się w pary. Jedna przysunęła się do Miri, dygnęła i podała jej bukiet czermieni. Zachciało jej się płakać. To powinien być dzień jej ślubu. A nie to... to oszustwo.

Dlaczego, Brandt?

Odetchnęła głęboko, przeszła kilka kroków i stanęła pod łukiem wejściowym do głównej nawy. Na jej widok potężne organy zagrzmiały pierwszymi, triumfalnymi dźwiękami marsza weselnego. Zamiast ruszyć przed siebie, stała, wpatrując się w mężczyznę czekającego przy ołtarzu.

Wysoki, władczy, o ciemnych oczach i włosach jak bezgwiezdna noc, choć nikt nie nazwałby go zwyczajnie przystojnym. Miał na to zbyt grube rysy, jak wyciosane z kamienia - dopóki się nie uśmiechnął. Wtedy wszystko się zmieniło.

Właśnie tak się stało, gdy wpadli na siebie tuż przed śmiercią króla. Uśmiechnął się do niej, a ona się zadurzyła. Nie, gorzej, wpadła po uszy, zakochała się bez ratunku. Sądziła, że on czuł to samo, że kochał ją równie gorąco. Lecz nim zdążyli skonsumować związek, dostała wiadomość o śmierci ojczyzna i natychmiast odleciała do domu.

Ku swemu bezgranicznemu wstydnemu zostawiła Brandtowi list. Prawie niezrozumiała wskutek zawartej w nim dziwnej mieszanki żałoby z miłością. Bez ogródek opisała w nim swoje uczucia do niego, nadzieje i marzenia o przyszłości. Ależ była głupia!

Wpatrywała się w mężczyznę czekającego przed ołtarzem. Oto, czym się kończy impulsywność - wada charakteru, z którą nigdy nie umiała sobie poradzić - i rzucanie się na człowieka pozbawionego emocji, stawiającego swoje ambicje ponad wszystkim. Miri poczuła napływające do oczu łzy. Odsunęła jednak na bok ból i cierpienie, zastępując je złością. Potrzebna jej była wręcz oślepiająca wściekłość, żeby utrzymać inne emocje w ryzach i przetrwać nadchodzącą koszmarną godzinę.

Odetchnęła głęboko i ruszyła przed siebie, krok za krokiem zmierzając ku zemście. Przez cały czas przez głowę przelatywały jej wspomnienia o tym, jak się to wszystko zaczęło.

Była idiotką. Totalną kretynką.

Minęła już północ, udało jej się zgubić grupę przyjaciół, z którymi przyjechała na wakacje na Mazone, niewielką karaibską wyspę. Wszyscy poszli na otwarcie klubu zorganizowane o kilka kwartałów od głównej alei. Dopiero po przetańczeniu kilku godzin, kiedy tłum i hałas zrobiły się nie do zniesienia, zorientowała się, że znajomi znikli. Postanowiła wrócić do hotelu na własną rękę.

To był poważny błąd. Zawsze miała kłopoty z orientacją, nawet kiedy dobrze wiedziała, dokąd iść. W obcym mieście, późną nocą, było jeszcze gorzej. Wyszła z zabawy przekonana, że dokładnie zna drogę do hotelu. Jednak już kilka kwartałów dalej okolica zmieniła się z oświetlonej i porządnej na mroczną i podejrzaną. Co gorsza, nie miała zielonego pojęcia jak wrócić w bezpieczniejsze rejony.

Maszerowała szybkim krokiem, udając, że wie, dokąd zmierza, stukając śmiesznie tu wyglądającymi szpilkami i modląc się w duchu o spotkanie jakiegoś policjanta, taksówki albo rycerza na białym rumaku. Kogokolwiek, kto mógłby jej pokazać, dokąd iść, albo odprowadzić ją do hotelu.

Zamiast tego dobiegł ją dźwięk, od którego zimny dreszcz przebiegł jej po plecach - cichy odgłos szybko zbliżających się, ukradkowych kroków. Chwilę potem usłyszała potwierdzenie swoich obaw. Cichy głos zakomenderował:

- Łapcie ją!

Bez wahania skręciła za najbliższy róg, zrzuciła buty i wystartowała do biegu. Adrenalina wrzała jej w żyłach, grożąc całkowitym ogłupieniem. Czy ciągle ją gonią? Zbliżają się? Szloch dusił ją za gardło, utrudniając oddychanie. Walczyła ze strachem, z ogarniającą ją paniką, usiłowała sobie przypomnieć, co Merrick nauczył ją z samoobrony.

Zmusiła się do skupienia. Łokcie. Łokcie to najtwardsze punkty ciała. Jeśli napastnik zbliży się dostatecznie blisko, użyje ich. Potem pazurami w oczy. Pięścią w nos. Jednak najpierw rzucić im torebkę, w nadziei, że to ich zajmie na tyle długo, by zdołała uciec. Karty kredytowe i te parę dolarów da się zastąpić.

W przeciwieństwie do paru innych rzeczy.

Obiegając kolejny róg, wpadła na mur mięśni. O Boże, proszę, proszę! Byle nie to! Okrążyli ją, odcięli drogę. Odskokczyła o kilka kroków, odrzuciła ruchem głowy długie do pasa włosy i zadała rozpaczliwy cios. Stojący przed nią mężczyzna zablokował go od niechcienia. Tak samo próbę kopnięcia kolanem w krocze i uderzenia łokciem w żołądek. Zdała sobie sprawę, że nie ma żadnych szans. Zalała ją fala paniki. Otworzyła usta do krzyku, ale ze zgrozą usłyszała, że jest zdolna tylko do żalostnego skrzeku. Mężczyzna odbiwszy ostatnią jej próbę zadania ciosu, przerażająco łatwo złapał ją za oba nadgarstki i przytrzymał.

Skręciła się cała w rozpaczliwej próbie wyrwania się. Bezskutecznie.

- Proszę... - załkała. - Puść mnie...

ROZDZIAŁ DRUGI

- Uspokój się, nic ci nie zrobię.

- To mnie puść! - Zaryzykowała szybkie spojrzenie przez ramię. -

Proszę!

- Przestań się szarpać, to cię puszcze.

Sprawiał wrażenie rozbawionego. W jego głosie było coś znajomego. Jednak zanim zdołała zareagować, usłyszała za plecami odgłosy truchtu. Ścigający, gdy zobaczyli ją i jej towarzysza, zatrzymali się, wyraźnie niepewni co dalej robić. Spotkany mężczyzna puścił jej rękę i odsunął ją za siebie, odwracając się w stronę napastników.

- Nie bój się. Ja to załatwię - mruknął. Głośniej zwrócił się do oponentów: - Ta mała jest teraz moja. Idźcie sobie, to nie będę musiał robić wam krzywdy.

Wyjrzała zza jego pleców. Skrzywiła się, zobaczywszy, że przeciwników jest aż trzech. Dobry Boże! Sama nie miałyby najmniejszych szans. Poruszali się lekko na boki, przypominali jej grupkę hien szykujących się do ataku.

- Może po prostu ucieknę - zaproponowała lękliwie.

- Tylko wznowiliby pościg.

Znowu usłyszała to coś w jego głosie. Zerknął na nią przez ramię. Zobaczyła przez moment ostry, orli profil i błysk zimnych, twardych, ciemnych oczu. Zadrzała, pojmując, że ten mężczyzna może się okazać o wiele bardziej niebezpieczny niż ta cała trójka zbierająca siły w głębi ulicy.

Był równie wysoki jak Lander, ale zbudowany bardziej jak Merrick. Szczupły i żylasty, przez marynarkę wyczuwała jego twarde mięśnie. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? Przecież miał na sobie garnitur. Po raz pierwszy od wpakowania się w tę kabałę odetchnęła nieco spokojniej.

Trójka napastników rozmawiała cicho. Zgadywała, że zbierają się na odwagę. Podjęli decyzję. Ich głowy jak jedna zwróciły się w jej stronę, paskudne uśmiechy zaśniły w ciemności. Ruszyli jednocześnie, szybko, pewnie, formując szerokie półkole. Stado drapieżników okrążające zdobycz. Mężczyzna, za którym się kryła, nawet nie drgnął.

- Nic nie zrobisz? - pisnęła nerwowo, skubiąc go w plecy. - Może powinniśmy uciekać.

- Rób, co mówię, a nic ci nie będzie. Nie uciekaj.

Trzech napastników było tuż-tuż, spostrzegła błyski stali w ich dłoniach. Krzyknęła ostrzegawczo - idiotycznie i bezsensownie, skoro on dużo lepiej od niej widział ich ręce. Ani drgnął. Napastnicy zrobili jeszcze dwa kroki, wtedy jej obrońca nagle zareagował. Błyskawiczna kotłowanina trwała krócej niż trzydzieści sekund. Krótki cios kantem dłoni. Kopnięcie. Prosty. Wszyscy trzej wylądowali na ziemi, a ich broń, dzwoniąc, potoczyła się po chodniku.

Odwrócił się błyskawicznie, schwycił ją za ramiona i pchnął, skłaniając do szybkiego odejścia. Kiedy zauważył, że jest boso, zwolnił i zaczął patrzeć pod nogi, by nie weszła na coś ostrego.

- Gdzie mieszkasz? - Przeprowadził ją ciemnym zaułkiem na ulicę, na której był jakiś ruch. - Jak się nazywa twój hotel?

- Carlton - wychrypiła nazwę jedyne go pięciogwiazdkowego hotelu na wyspie.

Przechylił głowę arystokratycznym gestem. Wielokrotnie widziała taki ruch na królewskim dworze.

- Ja też - powiedział.

W tym momencie skojarzyła, co wyczuwała w jego głosie.

- Znam ten akcent! Jesteś Verdonianinem!

Wyszli z mroku w światło lamp i po raz pierwszy mogła mu się dokładniej przyjrzeć.

- Brandt. - Jego imię wyrwało jej się samo. Zakręciło jej się w głowie, kiedy zdała sobie sprawę, że bez jednego siniaka wywinęła się od poważnych obrażeń i to właśnie dzięki temu mężczyźnie.

- Brandt! To ty, prawda? Nie poznajesz mnie? Miri Montgomery.

Brandt wpatrywał się w nią, usiłując dopasować słabo zapamiętaną, niezdarną nastolatkę, do tej ekscytującej, pięknej kobiety, której dopiero co uratował skórę.

- Miri?

- Och, dziękuję ci!

Wspięła się na palce, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go w oba policzki, a potem leciutko w usta. Miała delikatne wargi.

- Bardzo ci dziękuję za ratunek.

Objął ją w talii, szczuplutkiej, okrytej jedynie cieniutką sukienką. Niech to szlag! Była praktycznie naga. Co ona sobie, u diabła, myślała, paradując tu w takim stroju? I kto pozwolił, by ta... to dziecko włóczyło się po najbardziej niebezpiecznych okolicach Mazone? Kiedy znajdzie

winnego, zadba, by ten człowiek do końca życia żałował popełnionego błędu.

- Co ty tu robisz, Miri?

- Jestem na wakacjach. - Wsunęła mu rękę pod ramię. - A ty?

- Chodziło mi o to, co robiłaś w okolicy, w której cię znalazłem?

Mogłaś zostać pobita... albo gorzej...

- Zgubiłam się.

- Gdzie twoja rodzina? Gdzie bracia? Kto się tobą opiekuje?

Zamrugła, patrząc na niego. Kiedy spostrzegła jego rozdrażnienie, uniosła brodę i wbiła w niego spojrzenie jasnozielonych oczu.

- Sama o siebie dbam - odparła dobitnie. - Tyle czasu minęło od naszego ostatniego spotkania, że prawdopodobnie zapomniałeś, że dzieli nas tylko siedem lat, Brandt. W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia pięć lat.

Czy naprawdę tyle lat minęło od chwili, gdy ją widział ostatni raz? Przyjrzał jej się od stóp do głów. Zobaczył kobietę, nie dziecko.

- No to jesteś na tyle dorosła, by wiedzieć, że nie należy się płatać samotnie, o drugiej w nocy, po najniebezpieczniejszych okolicach tego miasta.

- Jestem dość dorosła, by o siebie zadbać.

-I właśnie to robiłaś, uciekając przed tamtymi ludźmi? Dbałaś o siebie?

Puściła jego rękę, pochyliła się w perfekcyjnym dworskim dygnięciu, zawierając w nim pełen rozbawienia sarkazm.

- Wasza Wysokość zawsze znakomicie umiał onieśmielać innych. Tej nocy przeszedł książkę sam siebie. - Błysnęła uśmiechem. - Daj spokój, Brandt, przestań się zachowywać jak mój konserwatywny wujaszek.

Uniósł jedną brew. Jeśli uważała, że ją onieśmielił, w najmniejszym stopniu tego nie okazywała. Musiał się przekonać, czy sobie z tym poradzi. Podszedł bliżej.

- Co byś zrobiła, gdyby tamtych trzech cię złapało?

- Wydrapałabym im oczy. Kopałabym. Wrzeszczała. - Wzruszyła ramionami. - Merrick mnie nauczył, jak się bronić.

- O tak, świetnie ci poszło ze mną. - Z rozmysłem schwycił ją za nadgarstki, tak jak przedtem, z łatwością ją unieruchamiając. - A nawet nie miałem noża.

Trafił w dziesiątkę. Wzdrygnęła się, jakby wciąż widziała lśnienie ostrzy w świetle księżyca. Paskudnie ząbkowane. Noszone w konkretnym celu - aby zadać poważne rany lub zabić. Nie miałyby z nimi najmniejszych szans, nawet gdyby nie byli uzbrojeni.

- Puść, Brandt. - Sprawiała wrażenie, jakby się go nieco przestraszyła.

- Zmuś mnie. Udowodnij, że potrafisz się obronić przed choćby jednym mężczyzną.

Zamiast z nim walczyć, przysunęła się i oparła mu czoło na piersi.

- Masz rację. Nie udałoby mi się. - Poczwała się zmęczona. - Zacznę więc jeszcze raz, teraz na serio. Dziękuję za uratowanie mi życia. Wiem, że gdyby nie ty, dzisiejsza noc skończyłaby się zupełnie inaczej.

- Gdyby ci się coś stało, nigdy bym sobie tego nie darował, a twoja rodzina by mnie ukrzyżowała.

- Wiesz, że w dzieciństwie kochałam się w tobie na zabój? - spytała go z impulsywnością, która zawsze go niepokoiła. - Dziko, szaleńczo, rozkosznie, najmocniej, jak się w tym wieku da. Wariactwo, prawda?

- Naprawdę? - Nie mógł się powstrzymać. Przesunął kciukiem po jej policzku. Jej skóra okazała się dokładnie tak gładka i delikatna, na jaką wyglądała. - Zawsze byłeś lekkomyślnym dzieckiem. Nie jestem pewien, czy bardzo się od tamtych czasów zmieniłaś.

- Możliwe, że w ogóle nie - przyznała. - Jedno się jednak zmieniło całkowicie.

- Cóż takiego?

- Gdybyś jeszcze tego nie zauważył, dzieckiem już nie jestem.

Nie zdołał się powstrzymać. Zmierzył powoli wzrokiem jej sylwetkę w błyszczącej, krótkiej sukience, żałując, że może tylko patrzeć. Pragnął ją porwać na ręce i zanieść do hotelu. Zerwać z niej tę odrobinę jedwabiu. Dotykać. Wziąć. Nie zrobił nic, delikatnie ją od siebie odsunął.

- Masz rację - mruknął. - Dorosłaś. Ale to niewłaściwe miejsce i czas. Odprowadzę cię do hotelu.

-Okej.

Nie odwróciła się, by ruszyć w stronę Carltona, tylko przechyliła głowę i wpatrywała się w niego tymi czystymi jak górskie jezioro oczami, pełnymi pożądania, tak silnego, że budziło to w nim najprymitywniejsze instynkty, domagające się, by wziął, co mu tak ewidentnie oferowała. Nigdy potem nie mógł zrozumieć, jak się wtedy zdołał opanować.

Wzięła go pod rękę i zadała mu kolejny werbalny cios.

- No to powiedz mi, Brandt - rzuciła lekkim tonem. - Kiedy i gdzie będzie właściwy czas i miejsce? Podaj datę i adres, jeśli łaska. Chcę dokończyć to, co zaczęliśmy.

Wspomnienia zblakły i Brandt zmusił się do spojrzenia na zbliżającą się narzeczoną. Marsz weselny grano za głośno, jakby usiłując zagłuszyć to, co ukradkiem szeptali sobie wszyscy tu obecni: że ta ceremonia to właściwie farsa.

Plotki były absolutnie prawdziwe, co wcale nie poprawiało mu humoru. Wspomnienia o Miri, o tych kilku spędzonych z nią cudownych tygodniach, były tylko wspomnieniami, niczym więcej. Skupił się na pannie młodej. Nie mógł sobie pozwolić na niezdecydowanie. Zbyt wiele od tego zależało.

Księżniczka Alyssa podeszła. Spod tradycyjnego verdoniańskiego welonu nie było w ogóle widać jej twarzy. Może to i lepiej w tej sytuacji.

W końcu muzyka umilkła i ceremonia się rozpoczęła. Alyssa wyszeptała swoją wymuszoną przysięgę. Jej głos brzmiał jakoś inaczej, nie potrafił powiedzieć, czy z powodu łez, czy zdenerwowania.

Kiedy przyszła kolej na niego, złożył przysięgę bez wahania, głosem spokojnym, wypranym z emocji. Obowiązek nie wymagał uczuć. A on właśnie spełniał uciążliwy obowiązek wobec swojego księstwa, wobec kraju, który kochał bardziej niż siebie.

Nieważne, że bardzo pragnął, by stała przy nim nie Alyssa Sutherland, ale kobieta stanowiąca jej dokładne przeciwieństwo. Możliwość wyboru stracił w chwili otrzymania raportów o malwersacjach Montgomerych. Wtedy już mógł zrobić tylko jedno. I wypełni swój obowiązek, nieważne, jak jest mu wstrętny.

Z zaskoczeniem spostrzegł, że ceremonia zbliża się ku końcowi. Zabrzmiała tradycyjna formuła deklarująca zawarcie związku: „Od dzisiaj do końca waszej drogi na tym świecie pozostajcie na zawsze mężem i żoną”. Potem nastąpiła pauza, podkreślająca pragmatyczny charakter zakończonej ceremonii, oraz słowa końcowe: „Wasza Wysokość może pocałować żonę”.

Brandt sięgnął do welonu Alyssy, lecz ta nieoczekiwanie cofnęła się lekko, z dłonią przyciśniętą do brzucha.

- Proszę - szepnęła. - Nie czuję się najlepiej, mdli mnie.

Idealnie. Perfekcyjne zakończenie perfekcyjnego ślubu. Z jego punktu widzenia złe samopoczucie było znakomitym wyjściem. Z lekkim uśmiechem odwrócił się w stronę zgromadzonych.

- Moja pani świetnie zna verdonianskie zwyczaje. Poprosiła, bym zdjął jej welon, kiedy zostaniemy sami, tak żebym był pierwszym, który ją zobaczy jako nowo poślubioną.

Rozległy się pojedyncze śmiechy, zagłuszone marszem nowożeńców. Brandt podał ramię Alyssie, poprowadził ją przez nawę, przedsionek i zalany słońcem dziedziniec do niewielkich drewnianych drzwi. Nie czekając na eskortę, powiódł żonę do tunelu łączącego kościół z pałacem.

- Wytrzymaj jeszcze tylko parę minut - powiedział cicho. - Zaraz będziemy w twoim pokoju.

- Dziękuję.

Jej głos zabrzmiał w tunelu dziwnym echem, które złagodziło jej zazwyczaj silny amerykański akcent. Nie mógł się powstrzymać od

porównania go z innym, też amerykańskiego pochodzenia, lecz z silną verdoniańską melodyką. Drażniącym. Impulsywnym. Roześmianym.

Tunel kończył się wyjściem na główny dziedziniec pałacu.

Odprowadził Alyssę - żonę, poprawił się w myślach z wysiłkiem - do drzwi prowadzących na korytarz bliski przeznaczonym dla niej pokojom. Zniknęłaby wewnątrz bez słowa, nie oglądając się, gdyby jej nie przytrzymał lekko za ramię. Zamarła.

- Nie - powiedziała tylko.

- Wiem, że chcesz wiedzieć, o co chodzi.

Odwróciła się gwałtownie, najwyraźniej kompletnie zapominając o złym samopoczuciu, o ile w ogóle było prawdziwe.

- Tak, chciałabym.

- A ja wyjaśniłem ci już, że teraz to niemożliwe. Nadał tak jest, bardzo mi przykro, Alyssso.

- Mnie też. Bardzo musi ci zależeć na tronie.

- Kto o tym z tobą rozmawiał?

- Nikt. Sama się domyśliłam...

- Twierdziłaś, że nic nie wiesz o politycznej sytuacji Verdonii - przerwał jej. - Czy może to było kłamstwo?

- Jedna z druhen coś takiego wspomniała - wymamrotała. - Nie pojmuję, jak poślubienie mnie może ci pomóc w zostaniu królem, ale najwyraźniej tak jest.

- To skomplikowane.

- To dlaczego tego nie uprościsz?

Zamarł. Dotychczas Alyssa była łagodna, niemal bojaźliwa. Jedyne raz postawiła mu się, gdy się niepokoiła o bezpieczeństwo swojej matki, w

wyniku jednej z najpaskudniejszych zagrywek, jakich się dopuścił, by ją zmusić do tej parodii małżeństwa.

Musiała sobie zdać sprawę, że powiedziała coś nie tak, bo odsunęła się trochę od niego i oparła plecami o drzwi.

- Przepraszam, nie powinnam była pytać. Kiepsko się czuję i jestem zdenerwowana.

- Zasługujesz na to, by wiedzieć, Alysso. - Sięgnął do klamki.

Stłumił urazę, gdy się odruchowo odsunęła. - Odpocznij w swoim pokoju. Przyślę tu twoją mamę.

- Nie! Proszę, nie zwracaj jej głowy!

Teraz już był całkowicie pewien, że coś tu nie gra.

- Od chwili przyjazdu bezustannie się domagałaś spotkania z nią.

Teraz możesz to zrobić i nie chcesz?

-Ja... ja...

- Alysso, dziecinko? - W końcu korytarza pojawiła się Angela. - Nic ci nie jest?

- Nic, mamó, naprawdę nic.

Brandt otworzył drzwi i gestem zaprosił kobiety do środka.

- Wejdzmy, będziemy tam mieli nieco więcej prywatności. Skorzysta z okazji, że są obie razem, i wyjaśni, na ile może, aktualną sytuację polityczną Verdonii. Na jego skinienie dwóch ludzi zajęło miejsca po obu stronach drzwi.

W pokoju przyjrzał się swojej żonie i teściowej. Stały obok siebie, rozmawiając cicho. Ku jego zdziwieniu Angela wyglądała, jakby się znów miała rozplakać. Zbladła jak papier.

Przechodząc przez pokój, starał się nie czuć urazy, gdy obie zeszywniały. Schwycił brzeg welonu Alyssy.

- Zdejmijmy to. Na pewno poczujesz się wygodniej.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie! - Miri wyrwała Brandtowi welon z rąk i cofnęła się. -
Wolałabym go nie zdejmować.

Przymrużył podejrzliwie oczy. Wyczuwał, że coś jest nie tak, musiała działać błyskawicznie. I tak była zdumiona, że jeszcze się nie domyślił.

Angela natychmiast rozpoznała, że nie ma przed sobą Alyssy. Dzięki Bogu Brandt nie znał swojej żony równie dobrze i pozwolił obu kobietom zamienić kilka zdań na osobności. Czasu wystarczyło Miri ledwie na zapewnienie Angeli, że jej córka jest bezpieczna, i ubłaganie, by nie zdradziła zamiany.

- Proszę... Mam straszną migrenę... - Starła się naśladować głos Angeli w nadziei, że dzięki temu upodobni się bardziej do Alyssy. Zdumienie starszej pani upewniło ją, że chyba się udało. - Od silnych stresów często boli mnie głowa. Hałas i światło pogarszają sprawę. Dzięki welonowi jest mi trochę lepiej.

Sądząc po minie Brandta, nie uwierzył w ani jedno jej słowo, jednak, ku jej wielkiej uldze, nie naciskał. Cofnął się o krok, dając kobietom nieco więcej przestrzeni.

- Jeśli się w nim czujesz lepiej, niech ci będzie - zwrócił się do Miri.
- Dziękuję.

Zerknęła na Angelę, ta jednak znieruchomiała w oczywistej panice. Miri zwróciła się więc w stronę Brandta, by przejąć inicjatywę. Nie za agresywnie, trzeba poprosić, delikatnie.

-Proszę, Wasza Wysokość. Obiecałeś wyjaśnić mnie i mojej matce, o co tu chodzi. - Podeszła do Angeli i ujęła ją za drżącą dłoń. - Dlaczego zmusiłeś mnie do małżeństwa?

- Aby dokładnie podać wszystkie fakty, będę potrzebował pomocy twojej matki.

- Co ona ma z tym wspólnego?

- Musi ci powiedzieć, kim naprawdę jesteś. Nie zrobiłaś tego jeszcze, prawda? - zwrócił się do Angeli. Ta potrząsnęła głową, bliska omdlenia.

- Ona nic nie wie - potwierdziła.

- W takim razie może ja wyjaśnię? Matka nigdy ci nie powiedziała, że urodziłaś się tu, w Verdonii, jako księżniczka Alyssa Sutherland. Jesteś córką księcia Fredericka, który zmarł kilka lat temu, i przyrodnią siostrą jego syna Erika. Gdy miałaś rok, twoja matka rozwiodła się i wyjechała z kraju.

- Czy to prawda? - spytała swoją „matkę”, udając zaskoczenie.

- Tak. Żałuję, że nie powiedziałam ci tego wcześniej.

- Dlaczego? Czemu tego nie zrobiłaś?

- Chciałam zacząć wszystko od nowa. Zostawić za sobą całą przeszłość. - Spojrzała gniewnie na Brandta. - Nie za bardzo mi to wyszło.

- To prawda - potwierdziła Miri. - Ale w takim razie moje następne pytanie brzmi: Co moje dziedzictwo ma wspólnego z tym wszystkim?

Dlaczego tu jestem i po co to małżeństwo?

- Czy wiesz, jak jest zorganizowana nasza monarchia? Miri zawahała się i zerknęła na Angelę, która wtrąciła się pospiesznie:

- O tym też nic jej nie mówiłam.

- Zobaczę, czy uda mi się to prosto przedstawić. - Podeszedł do stojącego w rogu biurka, wziął kawałek papieru, pióro, nakreślił szkicową mapę kraju i podał ją Miri. - Verdonia podzielona jest na trzy księstwa rządzone przez księcia lub księżną. Północne - moje - to Avernos. W centrum jest Celestia, w której ostatnio rządził Eryk, twój brat, a na południu leży Verdon, rządzone przez Landera Montgomery'ego.

- Rozumiem.

- W przeciwieństwie do wielu innych monarchii u nas król czy królowa wybierani są w powszechnym głosowaniu spośród członków trzech rodów książęcych. Korona nie jest dziedziczna. Sześć tygodni temu pozostawaliśmy pod rządami króla Stefana, który zmarł, i teraz obywatele Verdonii wybiorą jego następcę spośród najstarszych książąt i księżniczek z każdego księstwa.

- Ty jesteś jednym z kandydatów? - Znała odpowiedź, ale należało zadać takie pytanie.

-Tak.

- Ja też?

Kolejne rozsądne pytanie. Brandt potrząsnął głową.

- W normalnej sytuacji to twój brat Erik byłby kandydatem, on jednak abdykował natychmiast po śmierci króla Stefana. Twój wiek nie ma żadnego znaczenia dla sprawowania władzy w twoim księstwie, Celestii, ale nie możesz kandydować do korony, bo w chwili elekcji nie będziesz miała ukończonych dwudziestu pięciu lat.

Miri słyszała o abdykacji Erika, choć nie znała jego motywów.

- Nadal jednak nie rozumiem po co to małżeństwo?

- Skoro ani Erik, ani ty nie możecie władać Verdonią, pozostaje wybór pomiędzy mną a Landerem Montgomerym. Pamiętaj, że to są wybory powszechne. Nasi obywatele zazwyczaj głosują na kogoś ze swojego księstwa. To oznacza, że Verdon wybierze Landera, a Avernos mnie. Gdyby rozgrywka toczyła się tylko pomiędzy nami, Montgomery by wygrał, bo Verdon ma największą populację. Lecz jest jeszcze Celestia.

Nawet dziecko pojęłoby, o co chodzi.

- A więc głosy z tego księstwa będą decydujące. - Zgniotła mapę w dłoni. - Jego obywatele będą lojalni wobec swojej księżniczki, więc zagłosują na jej męża, czyli ciebie. Celestia plus Avernos oznaczają koronę.

- Tak.

Tak beznamienne potwierdzenie spowodowało, że zachciało jej się płakać. Była pewna, że na jego decyzję wpływało coś więcej niż tylko żądza władzy.

- W takim razie podsłuchane słowa tamtej kobiety były prawdziwe - mruknęła. - Poślubiłeś mnie dla korony.

- Tak - potwierdził spokojnie.

- Ty łajdaku - wysyczała z furją. - Jak śmiałeś?

- Moja córka nie czuje się najlepiej. Proszę, czy mógłbyś jej pozwolić trochę odpocząć? Jestem pewna, że migrena przejdzie jej za kilka godzin - wtrąciła się szybko Angela.

- Zapewne. Jednak musimy tę sprawę załatwić tu i teraz, niezależnie od bólu głowy. - Popatrzył na Angelę. - Czy mogłaby nas pani zostawić samych? Jutro będziecie miały dla siebie cały dzień. Dziś... musimy z pani córką dojść do porozumienia.

Angela nie potrafiła mu się przeciwstawić.

- Dobrze, Wasza Wysokość - wydusiła z siebie po dłuższej chwili i wyszła.

Brandt podszedł bliżej, w milczeniu, Miri cofnęła się pospiesznie, choć nic to nie dało. Mocno ujął ją za rękę, po czym musnął jej dłoń ustami.

- To, co powiedziałem, niczego nie zmienia - rzekł.

- Chyba żartujesz! - zaprotestowała, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie o konieczności zmiany głosu. - To zmienia wszystko.

- Uprzedzałem cię, czego oczekuję po tym małżeństwie. Przede wszystkim twojego dobrego samopoczucia dzisiejszego wieczoru.

Oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia. Przecież nie mógł mieć na myśli...

- O nie! - Może to welon dodał jej dość odwagi, by się tak stawiać. W normalnej sytuacji bardziej by się pilnowała. - O tym nie ma mowy. Absolutnie.

- Mówiłem ci, że to musi być prawdziwe małżeństwo. Nic się nie zmieniło.

- Wszystko się zmieniło! Wykorzystujesz mnie tylko dla zdobycia tronu! To skandal! - Z furią kopała fałdy sukni, przechodząc przez pokój. - Bardzo się pilnowałeś, żeby się z tym nie wygadać przed ślubem.

- Miałem konkretne powody. Stanęła przed nim.

- Ożeniłeś się ze mną z konkretnych powodów - powtórzyła. - Jakich? Wyjaśnij mi je. Powiedz, że jest coś więcej niż tylko plan mający na celu kradzież korony.

- Nie kradnę korony - zaprotestował gniewnie.

- Nie? A jak to nazwiesz?

- Ratowaniem Verdonii przed Montgomerymi.

- Nie rozumiem.

- Nie mogę tego wyjaśnić. Jeszcze nie. Zaufaj mi, że kolejny Montgomery na tronie nie byłby najlepszy dla Verdonii.

- Robisz to, żeby nie dopuścić do wyboru księcia Landera na króla?

Nie odpowiedział na to pytanie, a Miri z doświadczenia wiedziała, że już nic więcej z niego nie wyciągnie. Musiała jednak spróbować.

- Obraził cię w jakiś sposób? Spowodował kłopoty, które się negatywnie odbiją na Verdonii?

- Kiedyś będę mógł uzasadnić swoje poczynania. Na pewno sama dojdiesz wtedy do wniosku, że mam rację. Na razie jednak mamy ważniejsze sprawy do ustalenia. Uśmiechnął się, a jego usta ułożyły się w sposób, na widok którego już tyle razy miękły jej kolana.

- Dziś jest dzień naszego ślubu. Może uda nam się jakoś sprawić, żeby to małżeństwo było udane. Chciałbym to sprawdzić.

Miała chęć się zgodzić, ale przypomniała sobie, że przecież nie mówił do niej tylko do Alyssy Sutherland, swojej żony, a przynajmniej kobiety, którą, jak sądził, poślubił.

- Mam ci wybaczyć to, co mi zrobiłeś? Co zrobiłeś mojej... mojej matce? Chyba jesteś niespełna rozumu.

- Nie skrzywdziłbym ani jej, ani ciebie. Zmusiłem was do tego, bo szybkie zawarcie tego małżeństwa było konieczne.

- Dla dobra Verdonii.

-Tak.

Pragnęła zerwać welon z głowy i stanąć do walki z nim jako Miri Montgomery. Tylko że stawka była zbyt wysoka, aby ryzykować wyłącznie dla ugłaskania urażonej dumy. Podeszła do najbliższego fotela i usiadła.

- Muszę pobyć trochę sama. Naprawdę głowa mi pęka.

- Dobrze. W razie czego będę w swoim pokoju. Za parę minut przyniosą ci herbatę i małą przekąskę.

- Dziękuję.

Podszedł do niej, stanowczo za blisko.

- Dziś wieczorem mamy prywatną kolację. Spodziewam się, że do mnie dołączysz. - Dotknął krawędzi welonu. -Bez tego.

Nie czekał na jej reakcję, i dobrze, bo nie wiedziała co powiedzieć. Gdy drzwi się za nim zamknęły, rozplakała się. Głupio robiła, ale nie mogła się powstrzymać. Dała sobie całe dwie minuty na wypłakanie się, a potem jeszcze minutę, żeby się w pełni opanować. Czas się wynosić.

Zapukano lekko do drzwi prowadzących na korytarz i po chwili zajrzała przez nie pokojówka. Zobaczywszy Miri, wśliznęła się do środka z tacą w rękach.

- Herbata i kanapki, Wasza Wysokość. Czy mam pani usłużyć?

- Nie, dziękuję - odparła Miri. - Po prostu to zostaw. Dziewczyna była świetnie wyszkolona. Oszczędnymi ruchami ustawiła to, co przyniosła na tacy, na pobliskim stoliku, dygnęła lekko i wyszła. Kiedy tylko Miri została sama, zdarła z głowy welon. Potargane pasma włosów wysunęły się ze spinek. Omal znów się nie rozplakała. Ich kolor był ponurym przypomnieniem, że mężczyzna, którego kochała, wybrał kogoś innego.

Przysięgłaby, że chwile, które spędziła z Brandtem na Mazoné, były prawdziwe, że był niezdolny do tak bezdusznych czynów, jakich się dopuścił w ciągu kilku ostatnich tygodni. Teraz już jednak знаła prawdę. Ożenił się, żeby zdobyć koronę, żeby nie dopuścić jej brata do tronu. Musi stąd zniknąć. Natychmiast.

Podeszła do garderoby w głębi pokoju i otworzyła drzwi. Jej zawartość nie zrobiła na niej zbyt dużego wrażenia. Alyssa przyjechała do Verdonii z mizernym zapasem ubrań. Albo zamierzała kupić nowe po przyjeździe, albo nie planowała zostać tu dłużej.

Przejrzawszy zawartość garderoby, wybrała prostą, granatową spódnicę i bluzę w kolorze kości słoniowej. Niezbyt wytworny strój jak na gościa weselnego, ale powinien wystarczyć, aby wymknąć się stąd jako Miri Montgomery. Zsunęła ubrania z wieszaków, ułożyła je na oparciu fotela i sięgnęła do suwaka. W tym momencie uświadomiła sobie, że w jej sukni nie ma żadnego suwaka. Ani guzików.

Zapomniała, że została zaszyta w tym draństwie, jak nakazywała tradycja, w dodatku jakoś szwów wykluczała ich rozdarcie. Potrzebowała pomocy albo musiała znaleźć nożyczki lub nóż. Popatrzyła na stolik z czekającym posiłkiem i dostrzegła błysk srebra. Pospiesznie obejrzała sztuce. Owszem, był nóż, ale tępy, bez śladu ostrza, przeznaczony tylko do smarowania masła.

To była kropla przepełniająca czarę. Opadła na fotel i ukryła twarz w dłoniach. Nade wszystko pragnęła powrócić do tych dni, kiedy cały świat kręcił się wokół jej miłości do Brandta. Przeżywać tamte chwile jeszcze raz, i jeszcze...

- Jak daleko jeszcze? - spytała, zdyszana.

- Niezbyt - odparł Brandt. - Tylko kawałek pod górę, wzdłuż rzeki.

Wspinając się za nim, Miri zatrzymała się na skale, żeby się przyjrzeć nieprzerwanemu dywanowi zieleni na zboczu poniżej. Obok szlaku płynęła rzeka, szumiąc na głazach i skalnych progach. Paprocie i pnącza przesłaniały jej brzegi, wszędzie było pełno kwiatów. Błyskając żółcią, błękitem i zielenią, z zarośli wyleciało stadko papug, które przefrunęły wśród pomarańczowych kwiatów helikonii.

- Ruszaj się, Montgomery. Niemożliwe, żebyś już miała dość.

Od miejsca, w którym stała, ścieżka zagłębiała się mocniej w dżungłę, oddalając się od rzeki. Wspięła się ostatnie kilkanaście metrów, lecz kiedy dotarła do miejsca, w którym ostatni raz widziała Brandta, jego już tam nie było.

- Hej, gdzie się podziałeś?

- Tutaj.

Jego głos dobiegał od strony rzeki, z dala od ścieżki. Przeciskając się pomiędzy paprociami i palmowymi liśćmi, dotarła do polany i zatrzymała się gwałtownie. Zabrakło jej słów. Po jej lewej stronie wznosiła się kilkunastometrowa ściana klifu, z której woda srebrną smugą spadała wprost do niewielkiego jeziora. Po prawej wąski kanał wskazywał dalszy bieg rzeki. Wokół, na skałach, kłębiła się roślinność.

Najpiękniejsze ze wszystkiego były jednak motyle. Setki ich trzepotały w wypełnionym wodnym pyłem powietrzu. Nigdy wcześniej nie widziała takiego szaleństwa barw.

Brandt uśmiechnął się, widząc jej osłupienie.

- Na co czekasz? Rozbieraj się, kobieto. - Na widok jej wahania uniósł brew. - Masz na sobie kostium kąpielowy?

- Tak, oczywiście.

- To niedobrze.

Miri stłumiła chichot, ale jej rozbawienie nie trwało długo, bo zostało zastąpione przez intensywną tęsknotę, której nie umiała ukryć. Pragnęła go, odkąd sięgała pamięcią. Ich spojrzenia spotkały się. Bez wahania zrzuciła buty, szorty i koszulkę, pozostawiając je w nieładzie na ziemi. On zrobił to samo.

Potem wziął ją za rękę i przytrzymał przez niesamowicie długą chwilę. Pomógł jej wejść do jeziora.

Następna godzina przeminęła jak we śnie. Oboje bawili się w wodzie jak dzieci, śmiejąc się głośno. W końcu, zmęczeni, usadowili się na płaskim głazie koło wodospadu. Miri usiadła ze skrzyżowanymi nogami, przeczesując palcami włosy. Ku jej zaskoczeniu Brandt dołączył do niej, pomagając rozplatać loki.

-Chciałabym... chciałabym, żeby ta chwila trwała wiecznie. Motyle, wodospad, kwiaty, jezioro i... - głos jej zamarł na chwilę -... i ty.

- Odkryłem, że nic nie trwa wiecznie, nieważne, jak bardzo bym pragnął, żeby było inaczej.

- Takie słowa pasowałyby do twojego dziadka.

- Nic dziwnego, skoro mnie wychował.

- O ile pamiętam, miał powiedzonka na każdą okazję, zwłaszcza gdy pakowałam się w kłopoty - przypomniawszy sobie. - Kiedy go spotkałam po raz pierwszy, bardzo się denerwowałam.

- Nareszcie komuś się udało ciebie onieśmielić.

- Opuść mi trochę, miałam siedem lat. Moja mama właśnie wyszła za króla Stefana. Ten wysoki, szorstki mężczyzna wyglądał nawet bardziej królewsko niż mój ojczym. Jak ty byś się poczuł?

- Przypuszczam, że niedługo pozostałaś onieśmielona?

- Jasne, że nie! Szybko się przedarłam przez tę twardą maskę i odkryłam miękkie jak wosk wnętrze. - Uśmiechnęła się czule. - Twój dziadek był dla mnie bardzo miły. Łaskawy. Czarujący. Wspierał mnie. Traktował jak prawdziwą księżniczkę. A jego przemowy, choć czasami bardzo bolesne, trafiały w sedno i zostały we mnie na zawsze.

- O czym był jego pierwszy wykład?

- To oczywiste. - Z jakiegoś powodu poczuła łzy napływające do oczu. - Verdonianinem jest się w sercu, a nie z powodu urodzenia.

- Ach! - Głos Brandta złagodniał. - Musiałaś się czuć bardzo obco.

- O tak. Właśnie jednoznacznie mi powiedziano, że nie jestem „prawdziwą” księżniczką. A ja najbardziej w świecie pragnęłam należeć do kraju, który przyjął za własny.

- Zrobił na tobie mocne wrażenie.

- O, tak! I to długotrwałe. Tak jak ty. Teraz uważam, że jesteście do siebie bardzo podobni. Był szorstki, miał zmarszczki i oczy takie...

- Przewiercające na wylot.

- Takie same jak twoje. Dzięki Bogu, że go miałaś. Utrata rodziców w tak młodym wieku musiała być dla ciebie bardzo bolesna.

- Właściwie prawie ich nie pamiętam. Zginęli, gdy byłam mały - mówił spokojnie, pogodzony z losem. - Za to zawsze miałem dziadka. Nauczył mnie wszystkich potrzebnych rzeczy.

- Niech zgadnę: honor, obowiązek, odpowiedzialność i... - skrzywiła się -... poświęcenie. Trafiłam?

- W dziesiątkę. Lecz ja bym raczej powiedział „wybór”, a nie „poświęcenie”, choć często wychodzi na to samo. Oczekuje się od nas wyborów raczej dobrych dla kraju niż dla nas samych.

- A jeśli są sprzeczne?

- Nie ma sprzeczności - odparł natychmiast. - Verdonia zawsze wygrywa.

- Taki jesteś pragmatyczny - rzuciła rozdrażniona. Skwitował tę uwagę lekkim wzruszeniem ramion i uśmiechem.

- A ty za to wcale.

Uwielbiała ten uśmiech. Prawdę mówiąc, od dwóch tygodni starała się, jak mogła, by go jak najczęściej wywoływać.

Ile miała lat, kiedy się zakochała w tym człowieku? Jedenaście? Dwanaście? Prawda, że to była szczenięca miłość. Jednak już wtedy coś ją do niego ciągnęło. Niemal już zapomniała, że znalazła kogoś, kto pasował do niej idealnie, w przeciwieństwie do Montgomerych.

Odrzuciła mokre włosy do tyłu i zmieniła pozycję, żeby móc lepiej obserwować Brandta w trakcie rozmowy. Nic nie przydałoby jego twarzy urody, była zbyt twarda, zbyt ostro ciosana, z tak świdrującym spojrzeniem, że wielu ludzi nie mogło mu patrzeć prosto w oczy. Miri nigdy to nie sprawiało kłopotu. Zawsze była nim zafascynowana i w dziwny sposób napawała ją to poczuciem bezpieczeństwa. To były oczy godne zaufania, nieskalane kłamstwem, nieważne jak trudne było pytanie albo jak przykra prawda.

W tej chwili chciała usłyszeć czystą prawdę.

- Zastanawiam się, co będzie, gdy wrócimy do domu. To znaczy między nami.

- A czego byś chciała? - spytał, nieporuszony.

- Chcę, by było nadal tak, jak jest - rzuciła szybko i natychmiast się poprawiła: - Nie, cofam to. Chcę więcej.

- Więcej. - Popatrzył na nią przeciągle. Zobaczyła, jak w jego spojrzeniu budzi się coś gorącego, coś dającego jej nadzieję. - Zdefiniuj, jak rozumiesz „więcej”.

- Najpierw mi coś powiedz: czy teraz łączy nas tylko romans?

- Nie, nie sędzę, by nasza znajomość kwalifikowała się jako romans.

- Bo nie śpimy ze sobą.

Udało jej się wywołać kolejny uśmiech, tym razem szerszy.

- Brutalna jesteś, wiesz?

- Lepiej nazwij to bezpośredniością. Rodzina o mnie mówi: pokrzepiająco bezpośrednio. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy mamy romans?

Żadnych wahań, żadnych uników. Tylko proste „nie”.

- Och... - odchrząknęła. - Chciałbyś, żebyśmy mieli? Nawet nie drgnął, leżąc na skale. Jednak pod tym pozornym spokojem dostrzegła wzbierające napięcie.

- Do czego ty zmierzasz, Miri?

- Nie wiesz? Nie domyślasz się? - Zupełnie jakby poszturchiwała patykiem wielkiego, niebezpiecznego kota.

- Igrasz z ogniem - rzekł, potwierdzając jej podejrzenia.

- Nie miałabym nic przeciwko zobaczeniu choć trochę tego ognia - powiedziała odważnie.

Poruszył się tak błyskawicznie, że kompletnie ją zaskoczył. W jednej chwili spoczywał rozluźniony obok niej, w następnej już miał ją w ramionach, leżącą na plecach. Pochylił się nad nią, a jego szerokie ramiona przesłoniły słońce. - Pokazać ci?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Myślę, że to mogłoby być „trochę więcej”, które miałam wcześniej na myśli.

- Mogłoby? - Brandt z najwyższym trudem się opanował, by jej nie wziąć tu i teraz. - Według mnie to jest dokładnie to „więcej”, o którym myślałaś. A przynajmniej mnie na myśl przyszło właśnie takie „więcej”.

- To na co czekałaś? Dlaczego nie próbowałaś wcześniej mnie uwieść? Dlatego że jestem, kim jestem?

- Tak. Kim, czym. Zupełnie jakbyś była pokryta stempelkami z ostrzeżeniami. Byłbym głupcem, ignorując je.

- Zabawne. Przysięgłabym, że na tych stempelkach jest twoje imię i może jedno malutkie ostrzeżenie: otwierać ostrożnie.

- Nawet nie próbowałbym inaczej. Nie z tobą.

Nigdy nie miał inklinacji do wykorzystywania kobiet i nie zamierzał zaczynać tego od Miri. Wszystkie poprzednie kochanki Brandta znały zasady, zawsze z góry zastrzegając, że małżeństwo nie wchodzi w grę i to jest wszystko, co może im zaoferować. W większości były to doświadczone kobiety, zainteresowane czasowym związkiem. W przypadku Miri instynkt go ostrzegał, że musi działać bardzo ostrożnie. Była z Montgomerych. Księżniczka Verdonii. Nie mogli być kochankami, nie ryzykując jednocześnie rozpętania piekła.

Miri skrzywiła się leciutko. Znał tę uwodzicielską minę aż za dobrze. Uwielbiała sprawiać mu kłopoty i docinać mu, a on, ku swemu zdumieniu, miał z tego mnóstwo uciechy.

- Powiedz mi prawdę. Czy te ostrzeżenia, które podobno widzisz, przerażają cię? - spytała, obejmując go za szyję.

-I to bardzo.

- A jeśli dałabym ci pozwolenie na zignorowanie ich? Roześmiał się z frustracją.

- Nie rozumiem cię. Nigdy mi się to nie udawało.

- A co tu rozumieć?

- Większość ludzi uważa, że jestem odpychający.

- Doprawdy? - Szeroko otworzyła oczy, udając niewinnie zdumienie.

- Nie zauważyłam.

- Właśnie o to mi chodziło. Nikt nie odważyłby się tak ze mną drażnić, jak ty to robisz.

- A ty bezlitośnie to wykorzystujesz, prawda?

- Głupotą byłoby zaprzeczyć. Ale z tobą nigdy mi się to nie udało. Zawsze czujesz się przy mnie absolutnie swobodnie. Dlaczego?

- Bo cię znam. Dogłębnie. Od pierwszego spotkania. -Objęła go mocniej. - A w czasie tego pobytu na Mazone jeszcze czegoś się dowiedziałam.

- Aż się boję spytać.

- Zdałam sobie sprawę, że byłoby to właściwe. My. Razem. Nie czujesz tego?

Czuł. Jednak było za wcześnie. Zbyt wiele niedopowiedzeń istniało pomiędzy nimi. Gdyby ją wziął, powstałaby między nimi nieodwracalna więź, na którą, według niego, jeszcze nie była gotowa. Posunięcie się choćby o krok dalej związałoby ich nieodwołalnie.

Zanim zdążył się odsunąć, uniosła się lekko i pocałowała go mocno w usta, oferując żar, namiętność i palące pożądanie. Nie pozostawiła najmniejszych wątpliwości, jak bardzo go pragnie.

Nie mógł jej odrzucić. Wplótł palce w jej jedwabiste włosy i pogłębił pocałunek. Mógłby ją wziąć natychmiast i nie spotkałby się ze śladem protestu. Poddałaby się w jednej chwili. Nie, raczej wmusiłaby mu siebie siłą.

- Miri, musimy się zatrzymać. - Lecz mówiąc to, przeniósł dłoń na granicę jej bikini. Przesunął po niej delikatnie opuszką palca. - Nie możemy zrobić nic więcej.

- Skończ, co zacząłeś, potem się zatrzymamy.

- Dobry plan.

Sięgnął do zapinki pomiędzy jej piersiami. Roześmiała się. Odsłonił jej biust. Był idealny. Poczul woń kobiety, aromat bardziej erotyczny niż najwspanialsze perfumy.

Musiał przestać. Niewłaściwy czas, niewłaściwe miejsce, nawet jeśli właściwa kobieta.

- Nie możemy. - Zadrżał, walcząc z potrzebą skończenia tego, co zaczęli. - Na pewno nie teraz.

Patrzyła na niego spod opuszczonych rzęs. Zarumieniła się delikatnie.

- Jeśli nie teraz, to kiedy?

- Jutro.

- Nie dziś w nocy? - Usłyszał zawód w jej głosie.

- Mam spotkanie w interesach. Nie wiem, jak długo potrwa. Poza tym, zanim zrobimy coś więcej, musimy porozmawiać. - Popatrzył na nią.
- Nie chcę czegoś nietrwałego. Nie z tobą.

- Ja też nie. - Uśmiechnęła się promiennie.

Brandt odetchnął głęboko i z powrotem włożył jej stanik. Z trudem wstał i postawił Miri na nogi.

- Czas iść.

Przytulił ją i pocałował ostatni raz. Był to uroczysty pocałunek pełen tęsknoty i obietnic. Kiedy ją dostanie, będzie miał wszystko, czego pragnie. Puścił ją. Zaczęła się zsuwać do jeziora. Przytrzymał ją w ostatniej chwili.

- Jutro - potwierdził.

Nie trudziła się, aby zadać pytanie, co ma na myśli. W jej oczach widział obietnicę nocy pełnej niezapomnianej namiętności. A przynajmniej tak sądził.

Tego wieczoru dowiedzieli się o śmierci króla Stefana i Miri wróciła do Verdonii. Oczywiście zostawiła list. Ale wtedy zmieniło się wszystko. To, co wydawało się pewne, miało nigdy nie nastąpić. Jego dziadek zbyt dobrze go wyszkolił. Honor. Obowiązek. Odpowiedzialność. I jeszcze jedno... Sądził, że przy dziadku nauczył się dokonywać wyborów, ale to Miri miała rację. Nauczył się wtedy poświęcenia.

Kilka godzin temu zapadła noc kończąca dzień ślubu. W pokoju jedynym źródłem światła był niewielki ogień płonący na kominku. Brandt usiadł przy nim w fotelu, wyjął list, który Miri zostawiła dla niego na Mazone, poprzecierany od wielokrotnego czytania, i przebiegł po nim wzrokiem. Uśmiechnął się gorzko.

Słowa Miri charakteryzowały ją idealnie - były pełne namiętności i żalu. Po wyjaśnieniu, że jest w drodze na lotnisko, bo wraca do domu, dowiedziawszy się o śmierci króla Stefana, resztę poświęciła na wyrażenie swoich nadziei dotyczących ich związku. Jej uczucia do niego wyzierały ze słów opisujących piękną, choć niemożliwą, przyszłość.

Kiedyś sądził, że mógł mieć to wszystko. Życie z uwielbiającą go kobietą, która chciała jedynie móc go kochać. Rodzić mu dzieci. Zestarzeć się razem z nim.

Zamknął oczy, wyobrażając sobie to, co nigdy nie mogło się spełnić. Dał sobie tych kilka godzin na zanurzenie się w głupich marzeniach, na które już nigdy nie będzie sobie mógł pozwolić. Wziął dziś ślub. Nie z Miri Montgomery, co uważał kiedyś za możliwe, ale - w wyniku chłodnej kalkulacji, której się nauczył przy dziadku - z Alyssą Sutherland. No cóż, podjął decyzję, a nie zwykł działać połowicznie. Związał się z Alyssą i sprostą temu, nieważne, ile go to będzie kosztowało.

Do dziś w ogóle nie dostrzegał w niej człowieka, była tylko narzędziem. Teraz, kiedy jest jego żoną, to się musi zmienić. Nie mógł, ot tak, wyrzucić jej z myśli i życia tylko dlatego, że wolałby inną. Stała się integralną częścią przyszłości jego i Verdonii. Zasługiwała na to, by jej udzielić odpowiedzi na zadawane pytania. Wkrótce będzie mógł to zrobić, a wtedy okaże się, czy zdołają zbudować małżeństwo na zrozumieniu i przyzwyczajeniu, skoro na miłości się nie da.

Poczuł delikatny powiew woni kapryfolium i kokosa. To nie był zapach perfum Miri, tylko kremu ochronnego, którym się posmarowała tamtego popołudnia nad jeziorkiem. Uśmiech powoli zgasł na jego ustach, tak jak odsuwane wspomnienie. Pochylił się w stronę ognia i pozwolił

listowi Miri wysliznąć się z palców. Papier na moment zawirował nad płomieniami, szerniał, a potem nasączający go olejek zapłonął gwałtownie. Brandt odczekał, aż znikł ostatni ślad pamiątki, i zamknął oczy. - Żegnaj, Miri - szepnął.

Zastygła w prywatnym przejściu ze swojego pokoju do pokoju Brandta, patrząc jak list zostawiony dla niego na Mazone, znika w płomieniach.

Zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Łamał jej serce, które, jak sądziła, już było bezpowrotnie strzaskane. Jednak widząc nieklamany żal na jego twarzy, pojęła, że decyzja o poślubieniu Alyssy nie przyszła mu łatwo, że poświęcił te kilka godzin na pożegnanie się z tym, co kiedyś przeżyli.

Odetchnęła powoli, ostrożnie. Raz, drugi. W ciągu kilku godzin, które przesiedziała samotnie, zatopiona we wspomnieniach, podjęła decyzję. Odnajdzie go i zażąda odpowiedzi. Jednak widząc, co zrobił, zdała sobie sprawę, że już otrzymała odpowiedź.

Ożenił się z Alyssą - a przynajmniej tak uważał - żeby przejąć tron. Cóż więcej potrzebowała wiedzieć? Tylko że ten plan nie wypali. Merrick już o to zadba. Jeśli Brandt zostanie królem, to w wyniku uczciwej elekcji, w otwartym pojedynku z Landerem, a nie dzięki podstępemu małżeństwu z Alyssą Sutherland.

Nie było sensu stać tak i oczekiwać od niego czegoś więcej, czego nie mógł jej dać. Zrobiła swoje. Powinna odejść, wrócić do pokoju Alyssy i przeszukać go. Może znajdzie pilniczek albo nożyczki do paznokci i zdoła się wydostać z sukni ślubnej.

Jednak się nie poruszyła. Pochyliła głowę i przyznała się przed sobą do gorzkiej prawdy. Nie chciała odejść. Pragnęła mieć okazję do pożegnania się, tak jak to zrobił Brandt. Uniosła wzrok i rozejrzała się po pogrążającym się w mroku pokoju. Ogień zmienił się w pełgający żar. Jedynym źródłem światła był księżyc, smuga blasku otaczająca fotel, w którym siedział Brandt. Jedna noc jej wystarczy. Jedna noc, żeby się pożegnać.

Nie dając sobie czasu, by pomyśleć, jak głupio robi, weszła do pokoju. W milczeniu podeszła do fotela. Potem przykucnęła, starannie unikając księżycowego blasku.

- Brandt - szepnęła, starając się jak najlepiej naśladować akcent Angeli, w nadziei, że okaże się wystarczająco podobny do Alyssy.

Poderwał głowę i wpatrywał się w nią przez dobrą minutę, nim się odezwał.

- Zaskoczyłaś mnie, księżniczko.

- Dlaczego?

- Przyszłaś tutaj. Sądziłem, że będę cię musiał szukać.

- Pewnie by tak było, gdyby nie jedna rzecz.

- Cóż takiego?

Pozwoliła, by w jej głosie pojawiło się rozdrażnienie.

- Nie mogę się wydostać z tej idiotycznej sukni.

- Moje najszczerze przeprosiny. Zapomniałem, że trzeba cię z niej uwolnić. Jeszcze jedna verdoniańska tradycja, o której możesz nie wiedzieć.

- Może byś coś zrobił? Późno się robi.

Wstał, ona też. Cofnęła się głębiej w cień. Minał ją i podszedł do drzwi prowadzących na korytarz. Uchylił je, chwilę porozmawiał z kimś na zewnątrz. Kiedy wrócił, w ręce miał sztylet.

- Wy mężczyźni jesteście zawsze tak dobrze przygotowani - skomentowała słabo.

- To część ich umundurowania - wyjaśnił, sięgając do wyłącznika.

- Proszę, nie. - Z trudem naśladowała cudzy głos. - Wolałabym, żebyś nie włączał światła.

- Chciałbym wiedzieć, co robię. - Nie potrafiła szybko znaleźć odpowiedzi, ale ku jej uldze okazało się to niepotrzebne. - Lecz jeśli sobie nie życzysz, w porządku. Zobaczymy, czy mimo to się uda.

Podszedł do niej, wziął ją za ramię i podprowadził w światło księżycy. Starannie trzymała się odwrócona do niego plecami, przerażona, że lada chwila zobaczy jej twarz.

- Stój nieruchomo - polecił Brandt, odgarniając jej włosy z karku. - Nie chcę cię zranić.

Poczuła lekkie pociągnięcie za gorset, który w chwilę później się rozluźnił. Po kilku cięciach zaczął jej się zsuwać z ramion. Przytrzymała suknię, krzyżując ręce na piersi. Cisza stawała się nieznośna.

Kiedy uwolnił ją całkowicie, nie cofnął się.

- Masz niesamowitą skórę - powiedział, przesuwając palcami po jej plecach, od karku aż do kości ogonowej.

- Co robisz? - szepnęła.

- Wiesz, co robię. - Muskał ją nadal. Dostała od tego dreszczy. - Możemy sprawić, żeby nam się udało, Alysso.

Alysso. Miri zacisnęła powieki z nagłego bólu.

- Naprawdę oczekujesz ode mnie skonsumowania tego małżeństwa?

- Pragniesz romantycznych słówek? Jeśli chcesz, znam takie, lecz byłyby kłamstwem. Prawdą bowiem jest, że musimy skonsumować małżeństwo, żeby się stało całkowicie legalne. - Przytrzymał ją mocniej. - Możemy spróbować cieszyć się fizyczną stroną naszego związku. Jak sobie poradzimy potem, to już zależy tylko od nas. Może to się jednak okazać solidnym początkiem, dla nas obojga.

- Takie to dla ciebie łatwe? - Ta myśl strasznie bolała. - Ot tak, włączyć, wyłączyć uczucia?

- Nie. Nie bardziej niż dla ciebie. Jednak zależy mi, żeby nasze małżeństwo było udane, jeśli się tylko na to zgodzisz.

- Jesteśmy sobie obcy. Nic o mnie nie wiesz. A ja... - zacisnęła dłoń - ... nie wiem nic o tobie.

Tylko jej się zdawało, że wie. Jakże się myliła, jak strasznie.

Objął ją w pasie, przycisnął do siebie i oparł jej plecy na swojej piersi. Jego ręka obejmowała ją za brzuch zaborczym gestem. Przycisnął wargi do miejsca pomiędzy szyją a ramieniem. Zadrzała pod tą delikatną pieśczęcią i rozluźniła się. Gdy tylko zdała sobie sprawę, co się z nią dzieje, zeszywniała i szybko zrobiła krok w cień.

Poszedł za nią. Delikatnie zsunął z niej suknię.

- Powoli, bez pośpiechu, moja żono - spróbował ją uspokoić. - Mamy całą noc.

Myślała, że może to zrobić, skrócić tę noc tak, żeby się nikt nie zorientował i nikt nie został skrzywdzony. Jednak słysząc, że się do niej zwraca imieniem innej kobiety, żony, czuła, że coś w niej umiera.

- Może powinniśmy poczekać do jutra - zasugerowała, prawie pozbawiona tchu. - Dać sobie okazję, by się poznać choć trochę lepiej.

- Ależ nic by się nie zmieniło. - Mówił delikatnie, troskliwie. Niemal czule. - Jutro też będziemy małżeństwem. Wciąż będziemy sobie obcy, a bać się będziesz jeszcze bardziej.

- Lepiej, żebyśmy już to mieli za sobą?

- Lepiej, żebyśmy odkryli, że nie ma się czego bać.

- Ja się nie boję - zaprotestowała natychmiast.

I mówiła prawdę. Chciała się kochać z Brandtem. Jednak jednocześnie pragnęła, żeby wiedział, z kim się kocha, choć nie śmiałyby ujawnić swojej tożsamości. Może jednak istniał sposób, by sobie z tym poradzić? Jeśli ją rozpozna - choćby podświadomie - może to wystarczy? Wciąż odpowiadałby na jej dotyk, zapach, smak. Na pocałunki, które tylko ona potrafi mu dać. W końcu kochałby się z nią, nie z Alyssą, i musiała mieć nadzieję, że jakaś jego częśćka zda sobie z tego sprawę.

Powoli opuściła ręce, pozwalając sukni opaść. Przyjął jej milczącą kapitulację bez słowa. Jego dotyk pozostał delikatny, czuły. Zsunął jej suknię do pasa, potem zahaczył kciukami spódnicę wraz z halką i zsunął je z jej bioder. Jego dłonie przez moment spoczęły na górnej części jej pośladków, zatrzymały się, a potem zsunęły się niżej. Opadł na jedno kolano i pomógł jej wyjść ze stosu jedwabiu.

Zanim się zorientowała, wstał, odwrócił ją i mocno pocałował w usta. Pamiętała ten pocałunek, tęskniła za nim od tamtego dnia przy wodospadzie. Odpowiedziała na niego z początku nieśmiało, potem z rosnącą namiętnością.

Nie zauważyła, kiedy zniknął jej stanik. Zorientowała się, dopiero gdy poczuła delikatny dotyk na biuście.

Zrozumiała wtedy, co robił. Uwodził ją, krok po kroku. W blasku księżycy zobaczyła jego twarz, pełną determinacji.

Potrząsnęła głową. Nie chciała, by się z nią tak kochał, nie z takim chłodnym wyrachowaniem. Jakoś musiała znaleźć sposób, by dotrzeć do namiętności ukrytej pod maską ścisłej kontroli, jak wtedy, przy wodospadzie.

- Zaczekaj - szepnęła. - Zwolnij.

Uznała jego niechęć do wypuszczenia jej z objęć za dobry znak, ale to było za mało. Pragnęła połączenia emocjonalnego, nie tylko fizycznego. Przesunęła się, stając w smudze księżycowego światła tak, by oświetlało jej ciało od szyi do kostek. Czowała jego wzrok sunący po jej sylwetce. Wzięła głęboki oddech, wiedząc, że ciąg dalszy będzie najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiła.

Z jak najbardziej niedbałym wdziękiem zsunęła najpierw jedną lśniącą pończochę, a potem drugą, lekko się kołysząc, jakby do nuconej w duchu melodii. Za nimi poszedł pas, wąski kawałek jedwabiu. Została w samych stringach. Zsunęła je z bioder i delikatnymi ruchami nóg powoli opuściła te kilka tasiemek do kostek. Odrzuciła do tyłu rozjaśnione włosy, tak żeby opadły prawie do pasa, po czym odwróciła się nieco i spojrzała przez ramię.

Z mroku dobiegał jego ciężki oddech. Czowała, że jej pragnie. Bez słowa, pospiesznie zdarł z siebie ubranie. Podszedł do niej, zdecydowanie wkraczając w smugę księżycowego blasku. I nareszcie, nareszcie przestał kontrolować swoje emocje.

W jego oczach płonęło pożądanie, którego z niczym nie mogła pomylić. Jej ciało odpowiedziało tym samym. Nagle zatrzymał się i wskazał punkt na jej biodrze.

- Co to takiego?

Zamarła. W ogóle o tym zapomniała.

- Tatuaż. - Zrobiła go sobie po tamtym pamiętnym dniu przy wodospadzie.

- To motyl.

- Lubię motyle.

- Ja... kiedyś też je lubiłem...

- A teraz już nie? - odważyła się spytać.

Potrząsnął głową, zaciskając usta. Zakończył dyskusję, biorąc ją na ręce i niosąc do łóżka.

Zadrzał, potrząsając głową z niedowierzaniem.

- To nie powinno tak wyglądać. Nie powinienem się tak czuć... Nie sądziłem, że to możliwe - szepnął do niej. - To zmienia wszystko. Prawda?

- Tak. - Wątpiła, by kiedykolwiek powróciła do dawnej siebie.

- Śpij - powiedział. - Porozmawiamy rano.

Nie śmiała zasnąć. Musiała uciec i nigdy nie wrócić. Wciskając się mocniej w jego objęcia, chłoneła każdą minutę, każdą sekundę starała się dobrze zapamiętać. Jego oddech, delikatną chrapliwość jego głosu, zapach jego skóry, woń ich miłości, smak jego pocałunków na wargach.

W końcu poczuła, jak się rozluźnił, zasypiając głęboko. Delikatnie wyswobodziła się z jego objęć. Najgorszy był moment wyjścia z przytulnego ciepłego łóżka. Na palcach przeszła przez pokój. Zawahała się

przed drzwiami łączącymi go z apartamentem Alyssy. Nie zdołała się powstrzymać i obejrzała się.

Jakby świadom jej uwagi zadrżał, sięgając po nią przez sen. A potem powiedział coś, co zraniło ją głębiej niż cokolwiek innego:

- Alyssso...

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Księstwo Verdon, Verdonia Dziesięć tygodni później

- Będziemy miały kłopoty - ostrzegła Miri swoje kuzynki. - Kiedy tylko moi bracia się zorientują, że się wymknęliśmy służbom bezpieczeństwa, dostaną szału. Już to widziałam i wierzcie mi, lepiej być wtedy jak najdalej od nich.

Żona Landera, Julianna, poprawiła czarną perukę zasłaniającą jej rude loki.

- Nie ma obawy. Będziemy daleko. W centrum handlowym.

Poprawiła na nosie okulary ze zwykłego szkła. Ametysty w jej pierścionku błysnęły czerwienią. Jak zawsze przyciągnęły wzrok Miri, a zwłaszcza najnowszy kamień znaleziony przez Landera i ochrzczonego imieniem Julianna Rose - ani fioletowy, ani niebieski, ani różowy, tylko stanowiący jakby kombinację tych trzech barw. Przypominał jej coś z wczesnego dzieciństwa. Dręczyło ją to od kilku tygodni, ale nie potrafiła skojarzyć, o co chodzi.

- Jedna godzina bez stada ochroniarzy przyglądających się każdemu mojemu ruchowi - powiedziała Julianna. Zadowolona z przebrania odwróciła się do pozostałej dwójki.

- Niczego więcej nie chcę. Na powtórzenie takiego numeru nie będzie szans.

- Lander na pewno o to zadba - zgodziła się Miri. Chronił Julianę, jak mógł. Oświadczył się, by ratować jej reputację, gdy prasa odkryła, że są kochankami. A potem kompletnie oszalał na jej punkcie.

- Obie musicie się jeszcze sporo dowiedzieć o moich braciach, skoro sądzicie, że nic nie powiedzą na temat naszej eskapady.

- Przestań tak wszystko widzieć w czarnych barwach, Miri. Jestem pewna, że Merrick zrozumie - oznajmiła Alyssa, z radosną pewnością kobiety niedawno poślubionej, beznadziejnie zadurzonej w mężu i kompletnie ślepej na jego wady. Kto by przypuszczał, że tak szybko po tym, jak ją porwał, będą ze sobą tacy szczęśliwi? - Wszystkie jesteśmy przebrane. Jeśli ktokolwiek nas wypatrzy albo prasa się zorientuje, uciekniemy. I gdzie tu miejsce na kłopoty?

- A co jeśli Br... księżę Brandt znów czegoś spróbuje?

- Miri zaczerwieniła się, zająknąwszy się na jego imieniu.

- Znam tego człowieka. Nie poddaje się łatwo. Przypomnij sobie, Alyssa, jak było, gdy złapał ciebie i Merricka. Ja się zaszyłam na Mazone, a wy się kryliście przed ludźmi Brandta. Kiedy się zakradliście do jego zamku, by ratować twoją matkę, zatrzasnął pułapkę. Był pewien, że ożenił się z tobą. A potem zdał sobie sprawę, że to nieprawda...

- Kiedy mnie pocałował - wtrąciła Alyssa z oburzeniem.

- ... i podstępnie wyciągnął od ciebie prawdziwą tożsamość poślubionej osoby. Moją. - Miri wzruszyła ramionami. - Tak jak powiedziałam, Brandt nie zrezygnuje. Jest zdecydowany przejąć tron i znajdzie sposób, by to osiągnąć.

Alyssa i Julianna wymieniły zatroskane spojrzenia. Widać było, że mniej się przejmują kolejnym ruchem Brandta w drodze do tronu niż uczuciami Miri do niego. Najwyraźniej wiedziały, co zaszło pomiędzy nimi, gdy zajęła miejsce Alyssy. Miała nadzieję, że zdoła ukryć swoje uczucia do Brandta, ale sądząc po ich minach, przegrała z kretesem.

- Nie skrzywdzi cię ponownie - pocieszyła ją Alyssa. - Merrick tego dopilnuje.

- Nie skrzywdził mnie. Nie w ten sposób, jaki macie na myśli. To ja do niego przyszedłam, nie on do mnie.

Alyssa wydawała się zszokowana wyznaniem Miri, za to wyraz twarzy Julianny wyraźnie wskazywał na perfekcyjne zrozumienie sytuacji. Obie kobiety były bardzo drogie Miri - stały się jej siostrami, których zawsze pragnęła.

- Czasem tak bywa - skomentowała Julianna. - Gdybyś kilka miesięcy temu spytała mnie, czy związę się z mężczyzną wbrew rozsądkowi, wyzwałabym cię od ostatnich idiotek. A potem spotkałam Landera i mój rozum diabli wzięli. Czy tak było z Brandtem?

- Tak bywało. - Miri zerwała się na równe nogi. - Teraz czuję do niego tylko pogardę. Kiedy nie udało mu się ukraść korony dzięki małżeństwu z Alyssa, oskarżył Landera przed Radą Królewską o malwersacje finansowe. Nigdy mu tego nie wybaczę.

- Może naprawdę wierzył, że twój brat jest winien. - Alyssa wydawała się zdumiona, że broni Brandta. Zwróciła się po wsparcie do Julianny. - Mówiłaś, że ta okropna kobieta zaaranżowała wszystko tak, by wyglądało na to, że to rodzina Montgomerych jest odpowiedzialna za okradanie państwowych kopalni ametystów.

- Lauren DeVida. - Julianna prawie splunęła tym nazwiskiem. - Główna księgowa króla Stefana. Bardziej główna złodziejka. Mam nadzieję, że wytropią tę kobietę i wtrącą do najciemniejszego lochu.

Zabrzmiało to bezwzględnie, ale biorąc pod uwagę, że to Julianna była odkrywczynią tego finansowego oszustwa - co było prawie

niemożliwe i dowodziło jej niemal czarnoksięskich zdolności matematycznych oraz geniuszu w dziedzinie księgowości - Miri rozumiała, dlaczego tak pragnęła upadku Lauren DeVidy.

- Jeśli mamy iść, czas ruszać - doradziła Alyssa. - Jesteś pewna, że nikt nie zauważy braku naszego samochodu?

Julianna potrząsnęła głową.

- Lander ma kilka nieoznakowanych samochodów pozwalających uniknąć powszechnej uwagi. Udało mi się załatwić jeden z nich, ale tylko do trzeciej.

- Cztery godziny? - Alyssa westchnęła z radością. - Podoba mi się. Nie chciała peruki, zadowolona się parą ogromnych ciemnych okularów, chustką ukrywającą jej blond włosy i wytartymi džinsami z prostą, białą bluzką. Gdyby Miri nie wiedziała, że to Alyssa, nie poznałaby jej. Po raz pierwszy od tygodni czuła, że wraca jej dawny wigor.

- Okej, dziewczyny - powiedziała, zdecydowana obudzić dawną Miri. - Przebrania na miejscu?

Alyssa i Julianna spojrzały w lustro.

- Tak jest - powiedziały chórem.

- Kluczyki? Julianna skinęła głową.

- Wiem, że są pod dywanikiem w samochodzie.

- Komórki na wypadek gdybyśmy się pogubiły?

- Sprawdzone dwa razy.

-I najważniejsza rzecz... nasze karty kredytowe?

To pytanie spowodowało pospieszne sprawdzanie, czy mają dość środków na wyprawę na zakupy. Zadowolone z rezultatu przeniosły się z pałacu do miejsca, gdzie Juliana miała odebrać samochód. Kiedy w końcu

dotarły do zwyczajnego, białego sedana, rozpoczęła się krótka dyskusja, kto powinien prowadzić. Miri zakończyła ją, przejmując kluczyki.

- Znam najkrótszą drogę i jestem przyzwyczajona do verdoniańskiego ruchu. Chcecie spędzić resztę czasu na kłótni czy w centrum handlowym?

To pytanie momentalnie zakończyło dyskusję.

Kilka następnych godzin było czystą przyjemnością. Miri strasznie się podobało spędzanie czasu z nowymi „siostrami” na deliberacjach nad kosmetykami, butami i kawą. W każdym sklepie siedziały jak najdłużej, uszczęśliwione, że przebrania okazały się skuteczne. Wreszcie Julianna niechętnie oznajmiła koniec zabawy.

- Okej, dziewczęta - powiedziała, ujmując obie pod rękę.

- Właśnie dostałam wiadomość, że Lander i Merrick wrócili do pałacu. Musimy się pospieszyć, zanim się zorientują, że zniknęliśmy.

Zebrawszy pakunki, szybko udały się na najniższy poziom parkingu, gdzie zostawiły samochód. Były o kilka stanowisk od niego, kiedy dwa SUV-y podjechały do nich gwałtownie z obu stron. Pojazdy zatrzymały się tak blisko nich, że stały stłoczone, oparte o tylne drzwi zakurzonego minivana.

- Merrick - jęknęła Alyssa. - Tak się ma, gdy się wychodzi za dowódcę Królewskiej Służby Bezpieczeństwa Verdonii. Najwyraźniej jego ludzie są lepsi od twoich, Julianno.

Zanim Miri zdołała skorygować jej pomyłkę, z SUV-ów wysiedli ludzie. Jeden się nie spieszył. Przykuł ich uwagę. Miri zabrakło tchu.

- To Brandt.

Podszedł spokojnie i dwornie się im ukłonił.

- Wasze Wysokości. - Najwyraźniej ich przebrania nie zwiody go ani na moment. Obrzucił je spojrzeniem i skoncentrował się na Miri.

- Czas wracać do domu, moja droga. Pożegnaj się z kuzynkami i możemy ruszać.

- Do domu? - Rozwścieczona Miri potrząsnęła głową. Najpierw wybrał ożenek z inną, potem milczał dwa i pół miesiąca, a teraz ośmiela się nazywać Averno jej domem? - Nie, dzięki. Mój dom jest tutaj.

- Był tutaj - poprawił ją łagodnie. - Zmieniłaś to, wychodząc za mnie.

- Nie jesteśmy małżeństwem. Ta ceremonia nie była zgodna z prawem.

- To musi ustalić sąd. Dopóki nie orzeknie inaczej, jesteś moją żoną. A ja mam szczerzy zamiar, udając się na spoczynek, utulić małżonkę w ramionach. - Skinał na swoich ludzi. - Drogie panie, będę wdzięczny za oddanie telefonów komórkowych oraz kluczyków.

Choć zachował formę prosząca, wyraźnie usłyszały rozkaz. Brązowe oczy Julianny lśniły z furii, a Alyssa wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać. Miri była zdenerwowana do szaleństwa. Wściekłość i rozgoryczenie zniszczeniem ich związku przez jego posunięcia walczyły o lepsze z niedowierzaniem, że zjawił się po nią po tak długim czasie. A najgorsza była budząca się nadzieja, delikatna i słabiutka.

Po krótkim wahaniu jej kuzynki posłuchały polecenia Brandta. Julianna wcisnęła swój telefon najbliższemu człowiekowi.

- Nie ujdzie ci to na sucho - warknęła. - I nie myśl sobie, że nie znajdę sposobu, by ci odpłacić za to, że mnie zmusiłeś do zachowywania się jak podrzędna aktoreczka w nędznym melodramacie.

Alyssa rzuciła swoim telefonem w Brandta, potem odwróciła się i uściskała Miri.

- Nie bój się - szepnęła. - Merrick znajdzie sposób, żeby cię uratować. Robi się w tym coraz lepszy.

- Myli się pani, księżniczko - zwrócił się do niej Brandt.

Najwyraźniej jej słowa go rozbawiły. - Moja żona ani nie potrzebuje, ani nie chce ratunku. Właściwie to podejrzewam, że czekała, kiedy się po nią zgłoszę.

- Chyba zwariowałeś - rzuciła Miri.

- Nie tylko ja w to wierzę, ale ty też, bez względu na to, czy przyznasz to przed kuzynkami, czy nie. Złóścisz się tylko dlatego, że tak długo mi zajęło zgłoszenie się po ciebie, za co szczerze przepraszam.

Chciała zaprzeczyć, ale jakaś głupia, romantyczna część jej duszy odczuwała dziką radość. A raczej tak było, zanim doszła do głosu pragmatyczna, podejrzliwa część jej osobowości. Dlaczego przyjechał? Jaki nowy, podstępny plan wymyślił, by zniszczyć Landera, i jaką ona ma odegrać w nim rolę?

- Powinieneś przeproszać za o wiele więcej - warknęła.

- Nie wątpię, że przedstawiś mi szczegółową listę. A teraz powinniśmy już jechać. Mamy dość napięty plan. Ale najpierw... - Ściągnął jej perukę i odrzucił na bok, z satysfakcją patrząc, jak jej włosy się rozsypują. - Ach. Dużo lepiej. I wróciłaś do naturalnego koloru, co stwierdzam z przyjemnością.

Odrzuciła włosy z twarzy i zastanawiała się, jak zareagować. Może gdyby go tu jeszcze trochę przytrzymała, Merrick naprawdę by się pojawił?

- Skoro sam o tym wspomniałeś, dlaczego tak dużo czasu ci zajęło przyjechanie po mnie?

- Zrobiłbym to już kilka tygodni temu, ale aż do dzisiaj byłaś zbyt dobrze strzeżona.

- Kto ci donosi? Kto ci powiedział o naszych dzisiejszych planach? - spytała.

- To nieistotne. - Zwrócił się do dwóch swoich ludzi: -Potrzebne nam pół godziny na dotarcie na lotniska. Będziecie chronić księżniczkę Julianę i księżniczkę Alysę nawet za cenę życia. Dokładnie za trzydzieści minut oddacie im komórki i przypilnujecie, by zadzwoniły po pomoc.

Dowiecie się, kiedy już będziecie mogli pozostawić je bez opieki. Macie plan wycofania się?

Obaj szybko potwierdzili i stanęli obok kobiet. Brandt wyciągnął dłoń do Miri.

- Idziemy?

Nie zamierzał jej już pozwolić na najmniejszą zwłokę. Ignorując jego rękę, podeszła do czekającego SUV-a. Przed wejściem zwróciła się do żon swoich braci.

- Powiedzcie Landerowi i Merrickowi, żeby nie robili niczego głupiego. Będę w kontakcie. - Spojrzała ostro na Brandta. - Pozwolisz mi zadzwonić do rodziny i zapewnić ich, że jestem bezpieczna?

Oddał jej komórkę.

- Kiedy się znajdziemy w Avernos, możesz dzwonić, zawsze i do kogo chcesz. Nie jesteś więźniem. No, nie całkiem - zwrócił się do Alyssy.

- Podziękuj ode mnie Merrickowi, Wasza Wysokość. Gdyby mi nie

podsunął tego pomysłu, sam nigdy bym na niego nie wpadł. Lecz skoro jemu porwanie wyszło tak bardzo na dobre, postanowiłem pójść za jego przykładem.

- Do chwili, gdy cię aresztują i wrzucą do lochu, który moi bracia dla ciebie przygotowali - warknęła Miri.

Brandt przechylił głowę.

- Tak - zgodził się. - Do tej chwili.

W końcu. W końcu jego żona znalazła się w Avernos, gdzie było jej miejsce. Brandt osunął się na oparcie fotela i poruszył szklaneczką z whisky, napawając się jej aromatem. Miri mogła nie chcieć tu zostać, ale skłoni ją do zmiany zdania, za wszelką cenę. Pociągnął solidny łyk i odstawił szklaneczkę na stolik. Raz pozwolił jej uciec. Nigdy więcej do tego nie dopuści.

Otworzyły się drzwi. Wstał. Weszła Miri, a raczej wkroczyła. Złość wyczierała z każdego jej ruchu. Przyjrzał jej się w milczeniu. Była wściekła, niewątpliwie, ale dostrzegał też ból.

Miała na sobie czerwony kostium, który kupił, przewidując jej powrót. Wiedział, że pojawi się, nie mając żadnych swoich rzeczy. Krój ujawniał, że straciła na wadze. Włosy, z powrotem kruczoczarne, związała w ciężki węzeł na karku.

- Dobrze, że tu jesteś, Miri.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo. Skontaktowałam się z rodziną. Chyba nie muszę mówić, że najszczęśliwsi nie są.

- Dogadam się z nimi.

Podeszła, rzuciła torebkę na stolik i wskazała fotel.

- Pozwolisz?

Skinął głową, rozbawiony. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, że byłby zdolny się dotrzeć w związku z Alyssą? Pragnął kobiety impulsywnej, twardej, energicznej. Takiej jak Miri.

- Usiądź, proszę. Wybacz, że nie mogłem ci towarzyszyć przy obiedzie. Napijesz się?

Potrząsnęła głową. Gdyby nie znał jej tak dobrze, pomyślałby, że się poczuła całkiem swobodnie. Jednak jej zdenerwowanie zdradzał wyzywająco wystawiony podbródek i dłonie mocno zaciśnięte na podłokietnikach.

- Dziękuję ci, że wróciłaś do Avernos - zaczął.

- Dziękujesz za... - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Zwariowałeś? Powiedziałeś to, jakbym przyjechała tu z własnej woli. Nie dałeś mi żadnego wyboru. Musiałam przyjechać tu z tobą, bo w przeciwnym razie...

- Co bym zrobił? - przerwał jej.

- Twoi ludzie. Ty. Otoczyliście nas. Musiałam z tobą pojechać.

- Uważasz, że mógłbym skrzywdzić ciebie lub którąkolwiek z was? - W każdym słowie brzmiała uraza, że mogła go w ogóle o coś takiego posądzić.

- Skrzywdzić nie - przyznała.

- Uważasz, że zmusiłem cię do przyjazdu tutaj?

- Tak! - Żadnego wahania.

Zastanowił się przez chwilę. Właściwie to mogła mieć rację. Na pewno nie ruszyłby się stamtąd bez niej.

- Może rzeczywiście użyłbym siły, gdyby nie było innego wyjścia. Nie wiem. Ale skoro się zdecydowałaś przyjechać z własnej woli nie

musiałem podejmować tej decyzji, prawda? Dobrze więc, pogadajmy o tym. Kto zaczyna?

- Nie wiem. Jesteś wystarczająco uzbrojony?

- Nie istnieje uzbrojenie wystarczające do walki z tobą.

- Chcesz porozmawiać? Dobrze, więc ja zacznę. - Pochyliła się w fotelu i wbiła w niego rozzłoszczone spojrzenie. - Po pierwsze, kto mnie zdradził?

- Następne pytanie.

- Powiedz mi, kim jest ten zdrajca - nalegała.

- Powiedziałem: następne pytanie.

Rozpoczęła się milcząca walka. Żadne z nich nie zamierzało ustąpić. W końcu prychnęła z frustracją.

- Niech będzie, nie mów. Wyjaśnij za to, jakie masz usprawiedliwienie dla twoich wysiłków zmierzających do przejęcia tronu?

Od tej odpowiedzi nie zamierzał się wykręcać. Chciała prawdy? Dostanie ją, nieważne, kto przy tym ucierpi.

- Otrzymałem dowody wskazujące na udział Montgomerych w kradzieży ametystów.

- Julianna znalazła osobę za to odpowiedzialną. To była Lauren DeVida, główna księgowa mojego ojczyma. Masz przedawnione informacje.

- Kiedy je dostałem, były całkiem aktualne.

- Rzeczywiście, to możliwe. Ale teraz znasz prawdę. To ona okradała państwo, a nie rodzina Montgomerych. - W jej słowach coraz wyraźniej brzmiał gniew. - Gdybyś przeprowadził właściwe śledztwo natychmiast po

otrzymaniu tej wiadomości, sam byś to odkrył. Zamiast tego wykorzystałeś te oskarżenia do próby odebrania tronu Landerowi.

Niemożliwe, żeby była aż tak naiwna.

- Jak miałem przeprowadzić takie śledztwo? - spytał. -Nie miałem dostępu do właściwych dokumentów. Nadal nie mam. I nigdy go nie zdobędę, jeśli nie zostanę królem.

- Czyżbyś mi wmawiał, że zawlokłeś Alyssę przed ołtarz tylko po to, żeby zdobyć dostęp do dokumentów finansowych? - zadrwiła. - Taką bajeczkę chcesz mi wcisnąć?

- Bajeczkę? Nie, to jest czysta prawda. Otrzymałem rzetelne informacje wskazujące na twojego ojczyma oraz Landera. Rozważyłem wszystkie możliwości, zanim się zdecydowałem na małżeństwo z Alyssą jako najlepsze rozwiązanie kryzysowej sytuacji. Musiałem chronić Verdonię.

Zbyła go machnięciem ręki.

- Daj spokój.

Czy ona naprawdę nie rozumie?

- Posłuchaj uważnie, Miri. Zgodnie z opiniami ekspertów otrzymane dokumenty nie były sfałszowane. Ktoś od bardzo dawna kradł ametysty i sprzedawał je na czarnym rynku. Wszystko wskazywało bezpośrednio na króla Stefana, a ostatnio także na Landera i Merricka.

- Ale to żaden z nich - zaprotestowała. - Już to wyjaśniłam, że to ta kobieta, DeVida.

-I kto jeszcze? Żachnęła się, zaskoczona.

- Jak to?

- Pomyśl spokojnie, Miri. Ametysty są transportowane z kopalni, z Avernos, do obróbki w Celestii. Część zostaje tam, zakupiona przez miejscowych rzemieślników, reszta jedzie do Verdonu, skąd sprzedawana jest na międzynarodowe rynki.

- No i? - spytała niepewnie. - Każde dziecko to wie.

- Zauważ jedno: jak Lauren DeVida kradła ametysty? Miri patrzyła na niego bezradnie.

- Jak ona...

- Lauren nie mogła tego robić zupełnie sama. Przecież nie wchodziła do sztolni, żeby podwędzić garść nieobrobionych kamieni. Są tylko dwa miejsca, w których da się ukraść ametysty, zmieniając jednocześnie zapisy: kiedy opuszczają kopalnię albo po oszlifowaniu, w trakcie przygotowania do sprzedaży.

Miri w milczeniu rozważała otrzymane informacje.

- Ktokolwiek kradł kamienie, nie zawracałby sobie głowy nieoszlifowanymi - przyznała niechętnie. - Dużo by na nich nie zarobił.

- Zgadzam się. To sugeruje, że druga możliwość jest bardziej prawdopodobna. Pytanie kto pozostaje więc otwarte. W żaden sposób DeVida nie zdołałaby zrobić tego sama. Musiała mieć pomoc i to kogoś na bardzo wysokim stanowisku, kto mógł sfalszować czeki i księgi króla Stefana. Ja chcę wiedzieć, kto to jest.

- To nie mój ojciec! - zaprotestowała Miri, urażona. - Ani moi bracia! Nie jesteśmy złodziejami!

- A skąd mogę mieć tę pewność?

- Jak możesz w to wątpić? - warknęła, zboląła i zła.

- A jakie mam dowody? - spytał ponuro. - Spójrz na to z mojej strony. Otrzymuję niepodważalne dowody na długoletnie okradanie skarbu państwa, które doprowadziło Verdonię na skraj kryzysu finansowego. W tym czasie król Stefan był u władzy.

- Nic o tym nie wiedział - zaprotestowała. - Nie możesz go o to oskarżać.

Twarz Brandta spoważniała.

- Owszem, Miri, mogę. Jego obowiązkiem było wiedzieć. To leżało w zakresie jego odpowiedzialności, jego obowiązków. Jego własna księgowa doprowadziła kraj na krawędź finansowej katastrofy. A Stefan nic nie zauważył. Dlaczego miałbym zaufać Landerowi, że spisze się lepiej? Dlaczego kraj miałby mu zaufać?

- Czyli zmusiłeś Alysę do małżeństwa, bo nie ufałeś Landerowi?

- Moim celem było powstrzymanie dalszych malwersacji i upewnienie się, że nic takiego się już nie powtórzy. To mój obowiązek wobec obywateli Verdonii. Mam szansę tego dokonać, tylko będąc królem. Możesz nie aprobować moich metod, ale wtedy nie widziałem żadnego innego sposobu. Nadal nie widzę.

- Mój Boże - szepnęła niedowierzająco. - Zrobiłbyś to jeszcze raz, prawda?

- Czy ożeniłbym się z Alyssą, żeby nie dopuścić Landera do tronu? - Nawet na moment się nie zawahał. - Tak, oczywiście.

- Niezależnie od tego, co się między nami wydarzyło na Mazone? Niezależnie od nas?

- Niech to diabli, Miri. - Przetarł dłonią twarz. - Uważasz, że mnie to nie boli? Że nie chciałbym innego życia, gdyby było możliwe? Ale nie

jest. Jestem, kim jestem. Mogę postępować tylko tak, jak mnie wychowano. Jak jestem zobowiązany nakazami moralnymi. Tego nie mogę zmienić.

- Nakazami moralnymi? - Poderwała się z miejsca. Na środku pokoju odwróciła się raptownie, z ogniem gniewu w oczach. - Alyssa nie chciała za ciebie wychodzić. Była przerażona i tobą, i sytuacją, w której się znalazła. Ale ciebie to nie obchodziło, prawda? Złożyłeś z niej ofiarę na ołtarzu swoich cennych zasad etycznych. Dla ciebie była tylko narzędziem, nie człowiekiem. Jak można to uznać za etyczne?

- Nie ma dnia, żebym nie żałował tego, co zrobiłem jej i Angeli. - Twarz zmieniała mu się z bólu. - Wybór był tylko pomiędzy zmuszeniem jej do ślubu ze mną a pozwoleniem na trwanie korupcji i dopuszczeniem do ruiny kraju. Co powinienem był zrobić?

- To oczywiste, nawet dziecko zna odpowiedź. - Prychnęła z pogardą. - Powinieneś był przedstawić dowody Radzie Królewskiej, tak jak to w końcu zrobiłeś.

- Może. Ale nie wiedziałem, jak głęboko sięga korupcja. Wtedy nie odważyłem się podjąć takiego ryzyka. Zmusiła mnie do tego porażka pierwotnego planu.

- Czyli jednak małżeństwo z Alyssą było najlepszym rozwiązaniem pomimo chwil, które spędziliśmy razem na Mazoné. - To nie było pytanie.

- Najlepszym - potwierdził.

- To co ja tu robię? Dlaczego mnie sprowadziłeś do Avernos? - Zacisnęła pięści.

- Jesteś tutaj, bo nie mogę ci pozwolić odejść - wyjaśnił. - Nie chcę.

- A ja nie zamierzam być nagrodą pocieszenia. Ani drugim wyborem. - Przeszła przez pokój i zgarnęła torebkę. - Nie masz żadnego prawa mnie tu dłużej przetrzymywać. Chcę wracać do domu. Mam na myśli Verdon. Odwieszasz mnie czy mam zadzwonić do braci?

- Pójdiesz zupełnie gdzie indziej. - Zanim zdążyła zareagować, wziął ją na ręce i zaniósł w stronę drzwi.

- Puszczaj! - Zaczęła się wyrywać, ale bezskutecznie. - Co ty robisz?

- Zabieram cię do łóżka - wyjaśnił. - Może kiedy się tam ponownie znajdziesz, przypomnisz sobie, dlaczego poprzednio tu zostałeś.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miri walczyła z całych sił, ale nic jej to nie dało. Niósł ją zupełnie bez wysiłku. Ku jej wściekłości gwardziści i służba spotkani na korytarzu udawali, że nic nie widzą, kryjąc uśmiechy. Jak mogli uważać to za zabawne? Więził ją wbrew jej woli!

Otworzywszy drzwi do swoich pokoi, postawił ją na podłodze.

- Nie zostanę tutaj! - warknęła, cofając się.

- Możesz próbować ucieczki, ale daleko nie zajdziesz. - Ruszył za nią, z nieruchomą twarzą. - Drugi raz ci się to nie uda. Moi ludzie nie popełniają tych samych błędów dwa razy.

- Nie oskarżaj ich, to nie ich wina. - Uczciwość kazała jej to powiedzieć. Cofała się przez pokój, trafiła na fotel, którego krawędź podcięła jej kolana, więc usiadła ciężko. Poczzerwieniała, ale błyskawicznie odzyskała kontenans. Udając, że od początku miała zamiar usiąść, założyła nogę na nogę, obciągając spódniczkę na udach.

- Kazano im pilnować Alyssy Sutherland, nie Miri Montgomery.

Wychodząc, przedstawiłam się. Po co mieliby mnie zatrzymywać?

- Dlatego wyszłaś spokojnie frontowymi drzwiami.

- Bardziej wybiegłam, niż wyszłam - mruknęła. Wyprostowała się i skupiła na walce. Pomogły jej lata praktyki w radzeniu sobie w trudnych sytuacjach na dworze.

- Co ja tu robię?

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu. Z daleka dobiegł dźwięk grzmotu.

- Dużo mamy sobie do powiedzenia. Zaczniemy jednak od pewnej ceremonii ślubnej, która się odbyła kilka miesięcy temu.

- Ach, to - rzuciła lekceważąco. - Jak sądzę, nie masz pojęcia, czy prawnie jesteście małżeństwem?

- To prawda, nie wiem.

- Nie sprawdziłeś?

- Stan obecny mnie zadowala.

- Chyba żartujesz.

- Ani trochę. - Zaplótł ręce na piersi. - Według mnie jesteście małżeństwem.

- Chyba nie wierzysz, że nasz ślub jest zgodny z prawem? Po pierwsze, sądziłeś, że się żenisz z Alyssą Sutherland. I to jej nazwisko zostało wymienione w trakcie ceremonii i we wszystkich dokumentach. Jeden z tych faktów wystarczy do unieważnienia.

- Całkiem możliwe. - Przechylił głowę. - A co się stało, jeśli oświadczę, że od początku wiedziałem, że to jesteś ty?

- To niemożliwe. Nie mogłeś wiedzieć!

- Jesteś tego pewna?

- Gdybyś wiedział, przerwałbyś ceremonię. Kazałbyś odnaleźć Alysę, tak jak to zrobiłeś później tamtej nocy

- Tak naprawdę to już rano. A teraz uważaj, żono. - Pochylił się nad nią. Cofnęła się. Za oknem błysnął piorun, huknął grom, burza była coraz bliżej, serce tłukło jej się jak szalone. - Skoro to ty jesteś odpowiedzialna za to, że straciłem pannę młodą, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli ją zastąpisz. Może nasz ślub jest legalny. Może nie. Prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi, bo zamierzam walczyć o to, by go nie

unieważniono. Przygotuj się więc, kochanie. Jeśli się chcesz uwolnić od tego małżeństwa, czeka cię trudna wojna.

Zerwała się na równe nogi. Dobrze, że wśród rzeczy, które dla niej kupił, znalazła buty na wysokim obcasie. Te dodatkowe parę centymetrów dawało jej poczucie równości.

- Drugi raz mnie nie zwiedzisz. Wiem, dlaczego to robisz.

- Ciekawe. Wyjaśnisz?

- Masz nadzieję, że małżeństwo ze mną da ci część głosów, które straciłeś, gdy Alyssa wyszła za Merricka. - Ośłupiał. - Ha, to nie zadziała, bo ja...

Uniesieniem ręki powstrzymał dalszą jej przemowę.

-Zaraz, zaraz. Według ciebie wykorzystuję cię jako źródło głosów w wyborach i potrafisz mi to powiedzieć prosto w oczy?

- Tak. Ale to się nie uda. - Oparła dłonie na biodrach. - Nie tylko nie zagłosuję na ciebie, ale zorganizuję aktywną kampanię na rzecz Landera.

- Zorganizowanie poparcia dla brata może się okazać dość trudne.

Jego głos był zbyt spokojny. Stanowiło to dla niej ostrze żenię. Nie pozwoliła się jednak onieśmielić.

- A to dlaczego?

- Słuchaj uważnie, droga żono. - Postąpił krok w jej kierunku, podkreślając ostatnie słowo. - Znalazłaś się tu z własnego wyboru. Ale to, kiedy stąd wyjdiesz, zależy już ode mnie.

Cofnęła się o krok. Tym razem ominęła fotel i stanęła ZA nim jak za barierą. O szyby zadzwonił deszcz, błyskawica zaalała pokój niebieskawym blaskiem.

- Wybór? - zaatakowała. - Nie dałeś mi żadnego wyboru czy mam tu przyjechać czy nie, i świetnie o tym wiesz! A te raz twierdzisz, że możesz mnie więzić wbrew mojej woli?

- Dwukrotnie tak.

- Chyba przetrzymywanie kobiet wbrew ich woli zaczyna się stawać twoim zwyczajem, paskudnym zresztą.

Udał, że się nad tym zastanawia.

- Wiesz, możesz mieć rację. Wezmę twoje zdanie pod uwagę.

Był tak beztroski, że miała ochotę go uderzyć.

- Wasza Wysokość, nie zamierzam tu zostać. Przyjechałam tylko z jednego powodu. Żeby...

- Utrzeć mi nosa, pokazując, jak pomogłaś Merrickowi ukraść mi narzeczoną? - podpowiedział radośnie.

- Tak. Nie! - Przeczesła palcami włosy. - No, może.

- Przyznaj się, Miri. Przyjechałaś, bo jesteś wściekła i zraniona. Chcesz się tym bólem podzielić.

- Myślisz, że jestem aż tak małostkowa? - Świdrowała go przez chwilę wzrokiem, po czym uderzyła pięścią w oparcie fotela. - Niech cię szlag! Tak, jestem. Chcę, żebyś cierpiał tak samo jak ja. Za to, co zrobiłeś z naszym związkiem. Ale najbardziej pragnę, żebyś wiedział, jak gardzę tobą za wszystko, co zrobiłeś!

Podszedł do niej, mimo że wyciągnęła ręce, by go odepchnąć. Objął ją i przytrzymał. Zdawał się kompletnie nie zwracać uwagi na to, jak sztywno stała. Pogładził jej włosy, rozplótł je.

- Jak mogłem choćby przez moment sądzić, że są Alyssy? - mruknął, chwytając je w dłonie. - Albo że to nie ciebie trzymam w ramionach?

Może wiedziałem to podświadomie, wiedziałem, ale zignorowałem te sygnały, bo pożądanie wzięło górę nad rozsądkiem.

- Nie wiedziałeś, że to ja. - Czy w ogóle usłyszał ból w jej głosie? - Nazwałeś mnie jej imieniem.

- Oczywiście. Używałaś go. - Oczy mu się zwięzły w nagłym zrozumieniu. - Mój Boże, czyżbyś miała nadzieję, że się zorientuję? To dlatego poczułaś się tak znieważona?

Tak, tak i tak! Jak mógł być taki ślepy?

- Powinieneś był się zorientować, kim jestem, już w chwili, gdy mnie pocałowałeś! - zawołała. Wspomnienia bolały. Zaciśnęła pięści na klapach jego marynarki. - Czyżby moje pocałunki były tak zwyczajne, że nie potrafisz ich odróżnić od karesów innej kobiety?

- A czy sądzisz, że gdybym miał wtedy w ramionach Alysę, reagowałbym na nią tak jak na ciebie? - odparł. - Tak stracił kontrolę nad sobą? Może i nie byłem świadom, że to ciebie miałem w łóżku, ale na jakimś poziomie to wiedziałem.

- Jak możesz tak mówić? Kochałeś się z Alyssą, nie ze mną. - Z trudem się opanowała, żeby wypowiedzieć te słowa, a nie wywrzeszczyć je na całe gardło. - Nie dałeś mi najmniejszego sygnału.

- Mylisz się. - Spoważniał. Na jego twarzy pojawił się wyraz namiętności, o jakim marzyła. - Kobieta w moich ramionach, kobietą w moim łóżku, kobietą, przez którą straciłem resztki kontroli nad sobą byłaś ty. Nikt inny. Żadna inna nie miałaby na mnie takiego wpływu jak ty.

- Nie wierzę ci. - Zaczęła się wyrywać. - Puszczaj!

- Spokojnie, kochanie, uspokój się - poprosił łagodnie,

Wiedziała, jak bezcelowe jest wyrywanie mu się. Jednak nie oznaczało to, że się poddała. Wciąż mogła walczyć, choćby słowami.

- Nie waż się mówić do mnie kochanie! - warknęła. - Nie masz prawa mnie tu trzymać, dotykać mnie. Zmuszać do pozostania z tobą. Straciłeś ten przywilej, kiedy postanowiłeś się ożenić z Alyssą.

- Pozwól, że się nie zgodzę. Kiedy zajęłaś jej miejsce, dałaś mi prawo, by cię zatrzymać. - Przesunął kciukiem po jej wargach. - Żeby cię dotykać.

-Ja nigdy...

- Zrobiłaś to, Miri. - Jego głos brzmiał zdecydowanie. - I zostaniesz ze mną tak długo, jak trzeba.

- Jak długo trzeba, żeby co? - spytała. Ujął jej twarz w obie dłonie.

- Jak długo będzie trzeba, żeby cię przekonać, że twoje miejsce jest tutaj.

To stwierdzenie zaskoczyło ją. Błyskawica na moment rozświetliła jego twarz, na której malował się spokój wywołany podjętą decyzją.

- Złożyłaś mi obietnice, których dotrzymania postaram się dopilnować.

- Chyba żartujesz!

- Ani trochę. Może i nie domyśliłem się w czasie ceremonii, że to ty. Może i nie całą prawdę poznałem później. Jednak ty dobrze wiedziałaś, kogo przysięgałaś kochać.

- Musiałam to powiedzieć - zaprotestowała. Czy zauważył obronną nutę w jej głosie? - Gdybym nie powtórzyła słów przysięgi, od razu byś się zorientował, że nie jestem Alyssą.

- To za słaby argument. Słyszałem twój głos. Uczucia przepełniały każde twoje słowo. Wtedy myślałem, że udajesz ze względu na gości. Ale było inaczej, prawda?

- Odegrałam swoją rolę. Byłam tylko aktorką. - Kogo chciała przekonać: Brandta czy siebie? - Zadbaliśmy, by Merrick z Alyssą mieli dość czasu na ucieczkę. Zrobiłabym wszystko, by nie dopuścić do odebrania przez ciebie tronu Landerowi.

- Jeśli to prawda, dlaczego potem zostałaś? Oczywiście zauważył słaby punkt w jej argumentacji

i wykorzystał go przeciwko niej. Przyglądał jej się z dobrze jej znaną, nieprzeniknioną miną, która w przeszłości nieraz ją poważnie frustrowała. Jak on jest w stanie tak mocno trzymać swoje emocje na wodzy, podczas gdy z niej wyciekały one jak lawa?

- Miałaś bardzo dużo czasu, by wyjść, zanim zapadł zmrok, ale tego nie zrobiłaś - ciągnął, skoro milczała. -Dlaczego?

- Jak już mówiłam, zostałam, by dać Merrickowi jak najwięcej czasu na ucieczkę - skłamała bez skrępowań.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że z trudem powstrzymywała dreszcze.

- Kochałaś się ze mną, poświęciłaś swoje dziewictwo w ofierze dla rodziny i kraju? Chcesz, żebym w to uwierzył?

Już otworzyła usta, by potwierdzić, ale nie zdołała.

- Okej, nie zostałam z tobą, żeby ratować Verdonię - przyznała z westchnieniem.

- Dobra odpowiedź.

- A uwierzyłbyś, gdybym nadal twierdziła, że taki był prawdziwy powód? - zaciekała się. - Uwierzyłbyś, że byłam zdolna kochanie się z tobą traktować jako część planu porwania Alyssy?

- Nie. - Krótka odpowiedź, poparta hurgotem gromu. - Istnieje tylko jeden powód, dla którego mogłabyś pójść do łóżka z mężczyzną.

- Skoro już wiesz, dlaczego z kimś sypiam, niepotrzebna ci moja odpowiedź.

- Chciałbym ją jednak usłyszeć - powiedział delikatnie, ale z naciskiem. - Chcę usłyszeć, jak mówisz, że możesz się oddać mężczyźnie wyłącznie, jeśli go kochasz.

- Nie zostałam dlatego, że cię kocham. Chciałam się tylko pożegnać. - Łganie mu w żywe oczy wymagało od niej całej pewności siebie, jaką dysponowała. - Tamtej nocy powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Poradziłam sobie z tęsknotą do ciebie. Cokolwiek było między nami, umarło w boleściach i niech tak zostanie.

- Nie wierzę ci.

W końcu udało jej się mu wyrwać. Kiedy tylko odzyskała wolność, natychmiast zapragnęła znów się znaleźć w jego objęciach.

- Wierz, w co chcesz, Brandt, to niczego nie zmienia. Jestem tu, by ci wypomnieć twoje czyny i oznajmić, że uważam cię za godnego pogardy.

- To jedyny powód?

- Nie. - Odzyskała pewność siebie. Odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała na niego zdecydowanie. - Także po to, by się dowiedzieć, co nowego knujesz.

- Nowego?

- Żeby wygrać z Landerem w wyborach. Uczciwie ostrzegam, że nie pozwolę ci zrobić nic, co mogłoby skrzywdzić jego albo moją rodzinę.

- A jak zamierzasz mnie powstrzymać?

- W każdy dostępny mi sposób.

Przedtem jego uśmiech był ciepły, teraz stał się lodowaty.

- W takim razie sugeruję, żebyś się trzymała jak najbliżej mnie i bardzo uważała.

- Możesz być pewien, że tak zrobię.

- Świetnie. W takim razie zacznijmy tu i teraz.

Zdjął marynarkę i krawat i cisnął je na fotel. Chwilę później dołączyła do nich koszula. Przyglądał się, jak Miri usiłuje utrzymać wzrok na jego twarzy. Jednak nie zdołała się powstrzymać przed krótkimi zerknięciami na jego pierś i ramiona. Pożądliwymi, pełnymi wspomnień o innej nocy. Spojrzeniami zadającymi kłam jej udawanej obojętności.

- Co robisz? - spytała słabo.

- Idę spać. A bo co?

Rzuciła krótkie spojrzenie na łóżko. Policzki jej się lekko zaróżowiły, a oczy pociemniały.

- W takim razie ja też. - Stała bezradnie na środku pokoju. - Gdzie ja...

Pokazał na łóżko.

- Tutaj, obok mnie.

Usiłował ukryć rozbawienie, gdy otwierała i zamykała bezgłośnie usta.

- Chyba żartujesz.

- Już ci mówiłem na parkingu, że kiedy będę się kładł do łóżka, chcę mieć żonę w ramionach.

Podszedł do niej i chwycił ją za żakiet, unieruchamiając. Nie dając jej czasu na reakcję, odpiął pierwszy guzik.

- Zaczynam od razu.

- Przestań, Brandt - poprosiła drżącym głosem i spróbowała zapinać guziki tak szybko, jak je odpinał. - To nie jest śmieszne.

- Zgadzam się. - Wygrał bitwę o guziki i zsunął żakiet z jej ramion, pozwalając, by opadł na podłogę. - W naszym dotychczasowym związku nie było nigdy nic śmiesznego.

Uderzyła go, gdy się dobrał do suwaka jej spódnicy. Nic jej to nie dało.

- Nie prześpię się z tobą - jęknęła.

- W porządku. W takim razie będziesz leżała bezsennie w moich ramionach, kiedy ja będę spał - Ujął ją w pasie i uniósł. Spódnica zjechała jej po udach, na moment zatrzymała się na butach z wysokimi obcasami, lecz potem i one się poddały i poleciały wraz z nią na podłogę.

- Nie masz prawa - zaprotestowała, gdy ją postawił.

- Powtórzę. Sama dałaś mi to prawo. - Ściągnął jej jedwabną halkę przez głowę.

- Nie możemy, nasze małżeństwo jest nielegalne. - Słowa były stłumione.

- Jest legalne, dopóki nie zostaniemy poinformowani, że nie.

Spod halki wyłoniła się jej rozwścieczona twarz, okolona zmierzwionymi włosami.

- Nie chcę iść z tobą do łóżka.

- Już to słyszałem, głośno i wyraźnie. Chcesz czy nie, dołączysz do mnie w tym łóżku. - Kiedy zdarzało mu się przemawiać takim tonem, uzyskiwał natychmiastowe posłuszeństwo.

Stała przed nim w kilku skrawkach jedwabiu i koronek, ze zmierzwionymi włosami, wciąż jednak całą sobą wyrażając zdecydowany opór. W jej oczach błysnęły łzy, wywołane złością. Musiał je zignorować. Nie mógł sobie pozwolić na okazanie przy niej najmniejszej słabości, dopóki sprawy między nimi się nie ułożą, jak trzeba.

Poszedł do niej. Potknęła się, cofając się o krok, i zatrzymała, wyprostowana, z zaciśniętymi pięściami i wysoko uniesioną głową. Tak silna, tak zbuntowana, tak boleśnie bezbronna. Sięgnął za nią i zgasił światło.

- Oboje jesteśmy zmęczeni, poirytowani, a temat do rozmowy jest taki, że lepiej go nie poruszać, jeśli nie jesteśmy w najlepszej formie - odezwał się w ciemności. - Proponuję odłożyć tę dyskusję do rana.

Usłyszał, jak odetchnęła z ulgą.

- Przeżyję.

- Dobrze. W takim razie mam coś dla ciebie. Bezbłędnie podszedł do komody. Wysunął górną szufladę i wyciągnął z niej jedną z koszul nocnych, które dla niej kupił. Trochę zaszalał, kupując od razu cały tuzin, jedną delikatniejszą i cieńszą od drugiej, jedwabne albo z najcieńszej bawełny, jaką zdołał znaleźć. Materiał zużyty na nie wszystkie z trudem wypełniłby mu dłoń.

- Włóż to. - Rzucił jej pierwszą, która mu wpadła w rękę. Chwyliła ją szybko i cofnęła się głębiej w mrok.

Usłyszał szelest materiału, gdy się rozbierała. Usiłował nie myśleć, jak przy tym wygląda. To by oznaczało kłopoty. Jeśli po tych czekających go długich godzinach miał pozo stać przy zdrowych zmysłach, nie mógł myśleć o nagiej czy rozbierającej się Miri.

Prawie mu się udało, lecz błyskawica rozświetliła po kój na ułamek sekundy, wypalając mu na siatkówce oka w myśli i w sercu obraz jego nagiej żony. Zabrakło mu tchu jak od ciosu w splot słoneczny.

Stała spięta, lekko odchyłona do tyłu, unosząc koszulę nocną nad głową, uwydatniając dzięki temu swój piękny biust. Kaskada włosów opadała jej aż do zgrabnych pośladków. Miała prześliczne nogi. Odwrócona była ku niemu na tyle, że zobaczył ciemny trójkąt u dołu gładkiego brzucha.

Wszystko to spostrzegł w jednym, krótkim błysku, po którym pokój z powrotem pograżył się w ciemności. Zobaczył i zapragnął. Pragnął chwycić ją i zedrzyć z niej tę koszulę. Więcej, pragnął zanieść ją do łóżka i wziąć w posiadanie każdy centymetr jej pięknego ciała. Pożądanie paliło go nie do wytrzymania. Tylko jedno go powstrzymało: wyraz jej oczu, zupełnie bezbronny.

- Proszę - szepnęła.

Bezradność w jej głosie, połączona z lękiem, cięły niczym nóż. Już ją skrzywdził, bardziej, niż przystoi mężczyźnie.

- W porządku, Miri - odparł szorstko, ale sprawiał wrażenie spokojnego. Przy odrobinie szczęścia miał szansę jej nie przestraszyć. Celowo utrzymał spory dystans. - Chodź do łóżka.

- Ja... ja nie czuję się najlepiej... Dobrze czytał pomiędzy wierszami.

- To był ciężki dzień - powiedział łagodnie. - Poczujesz się lepiej, kiedy się porządnie wyśpisz.

- Wolałabym spać sama.

- Jestem tego pewien. I chciałbym ci na to pozwolić. - Zamknął na moment oczy, zaciskając pięści. - Ale nie jestem aż takim altruistą.

Błyskawica znów rozświetliła pokój, przetoczył się grom. Przebrała się już, ale błysk przedarł się przez cieniutki materiał, pokazując mu wszystko, czego nie śmiał dotknąć. W tej samej chwili pobiegła, ale nie w stronę łóżka, tylko do łazienki. Zatrzasnęła drzwi. Po chwili usłyszała odgłos gwałtownych wymiotów. Pospieszył za nią.

- Spokojnie, kochanie. - Opadł na kolana obok niej i przytrzymał jej włosy z dala od twarzy. - Wszystko będzie w porządku, skoro mam ciebie.

Kiedy jej przeszło, oparła się ciężko o ścianę, przyciskając kolana mocno do piersi. Spod zaciśniętych powiek płynęły jej łzy, zostawiając smugi na białych jak papier policzkach. Wcześniej sądził, że wyglądała bezbrinnie, ale w porównaniu z obecną chwilą było to niczym.

Usiadł obok. Ku jego uldze przytuliła się do niego. A potem rozkleiła się kompletnie. Trzymał ją mocno, przeczekując kryzys. Kiedy minął, splótł ich palce razem i zadał jedyne rozsądne w takiej sytuacji pytanie:

- Jesteś w ciąży, prawda?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miri cofnęła się i popatrzyła na Brandta ze zgrozą w oczach.

- Nie. To niemożliwe.

Odsunął jej z twarzy mokry kosmyk włosów.

- Całkiem możliwe. Kochaliśmy się dwa i pół miesiąca temu bez żadnych zabezpieczeń. Byłaś wtedy na pigułkach?

Przygryzła dolną wargę i potrząsnęła głową. -Nie.

- A od tamtej nocy? Miałaś jakieś sygnały, że możesz nie być ciąży?

- Ja... Ja nie pamiętam. - Skłamała w żywe oczy. Dobrze wiedziała, że od tamtej cudownej nocy nie miała okresu. Jednak. wcale nie oznaczało to jeszcze ciąży. - Zawsze miałam bardzo nieregularne cykle. Stres może to spotęgować. Tak samo fakt, że ostatnio bardzo schudłam.

- Ciąża przynosi taki sam efekt, a przynajmniej tak głosi plotka.

- Dowcipniś! - Czułość, z jaką na nią patrzył, spowodowała, że znów miała oczy pełne łez. - Nie jestem w ciąży. Nie mogę być.

- To o wiele bardziej prawdopodobna przyczyna niż stres czy utrata wagi. - Zwilżył ręcznik ciepłą wodą i wrócił do niej - Niech to szlag, Miri, nie płacz - poprosił cicho, wycierając jej twarz. - Wszystko się ułoży.

- Nie ma się co układać - załkała. - Ty masz swoje życie a ja swoje. Problem rozwiązany.

Mówił dalej, jakby się w ogóle nie odzywała:

- Tej nocy jest już za późno, żeby z tym cokolwiek zrobić. Jutro z samego rana zadzwonię do lekarza i umówię cię na wizytę. Będzie dyskretny.

Odsunęła się i wstała, zła, że nogi nie są jej tak posłuszne, jakby tego chciała.

- Nie wtrącaj się do tego, Wasza Wysokość. Sama się umówię z lekarzem. - Już nie płakała.

- Najszybciej, jak się da, proszę.

- Nie zrobiłabym nigdy niczego, co mogłoby zagrozić zdrowiu dziecka, zakładając, że ono jest. - Jej dłoń zsunęła się w dół, na brzuch. Czy jest tam dziecko, które dał jej Brandt? - Oczywiście, umówię się z lekarzem najszybciej jak to będzie możliwe.

- Dlaczego do tej pory tego nie zrobiłaś?

Świetne pytanie. Już miała mu powiedzieć, że to nie je go interes, ale jedno spojrzenie na jego twarz skłoniło ją do łagodniejszej odpowiedzi.

- Po... porwaniu Alyssy wróciłam na Mazone - wyznała niechętnie.

- Aby trzymać się z dala od linii frontu?

- Wydawało się to dobrym posunięciem - mruknęła.

- Bardzo mądrze. - W oczach błysnęło mu coś drapieżnego i przemieszało się z powstrzymany gniewem. - Nie jestem pewien, czy przez pierwszych kilka dni po odkryciu prawdziwej tożsamości mojej żony bylibyśmy w stanie zachować się wobec siebie w cywilizowany sposób.

Miri zamarła pod tym spojrzeniem. Brandt zawsze utrzymywał emocje na wodzy. Przyglądając mu się teraz, zdała sobie sprawę, że gdy odkrył jej udział w spisku, całkowicie utracił tę kontrolę. Co by zrobił, gdyby wtedy mógł ją dopaść?

- Wróciłam z Mazone dopiero tuż przed ślubem Landera. - Spędziła tam długie, ponure, pełne żalu dni. Noce były jeszcze gorsze, ciągnęły się

bez końca, nabrzmiałe bolesną tęsknotą. - Prawdę mówiąc, straciłam poczucie czasu. Zorientowałam się, że coś jest nie tak, dopiero gdy wróciłam do Verdonii.

Skinął głową.

- Myślę, że gdybyś popędziła do najbliższej apteki kupić test ciążowy, wywołałoby to co najmniej zainteresowanie.

- Coś w tym stylu. - Bardziej prawdopodobne, że w ciągu godziny wiedziałby o tym cały kraj. A potem rozpętałoby się piekło.

Podał jej szczotkę do zębów z nałożoną pastą i zaczekał, aż będzie miała zajęte usta.

- Wiem, że nie chcesz, żebym się mieszał, ale jeśli jesteś w ciąży, to jest to moje dziecko. Zapowiadam, że zamierzam się mocno angażować we wszystkie aspekty ciąży, porodu i wychowania naszego potomstwa.

Wypluła starannie usta, zanim mu odpowiedziała.

- Dopiero dwie minuty temu zaczęłaś podejrzewać, że jestem w ciąży, a już planujesz poród i ojcostwo? - Uniosła brew, walcząc o zachowanie wizerunku osoby silnej i zdecydowanej, a tymczasem miała ochotę nakryć się czymś, aż po głowę i płakać, aż zmorzy ją sen. - Nawet nie możesz być pewien, że to twoje.

Nie wahał się ani przez moment.

- Jeśli jesteś w ciąży, jest moje.

- Dobrze. Jest twoje. A teraz daj mi spokój, Brandt. Wisisz nade mną, aż się duszę.

Zignorował to, chwytając ją w objęcia.

- Dam ci spokój, kiedy będę pewien, że dasz sobie radę bez pomocy.

Niezdolna się opierać, oparła mu głowę na ramieniu.

- Ja tylko muszę się wyspać.

- Dopilnuję tego.

Położył ją do łóżka. Odwróciła się do niego tyłem, zwijając się w kłębek. Boso przeszedł przez pokój i otworzył okno. Chwilę później świeży powiew przepłynął przez pomieszczenie, niosąc ze sobą woń deszczu. Wrócił do łóżka. Usłyszała szelest materiału, gdy się rozbierał. Materac ugiął się pod jego ciężarem. W chwilę później znalazła się w jego objęciach.

- Zamknij oczy, kochanie. Ze wszystkim będziemy sobie radzić jutro.

- Byłoby mi przyjemniej we własnym łóżku - szepnęła - Nie mogę tego zrobić. Tutaj. Z tobą.

- Nic nie musisz robić, miła. Śpij.

- Ty nie...

- Nie. Dopóki nie będziesz gotowa.

-Dziękuję...

Nie odpowiedział, tylko mocniej przytulił ją do piersi. Zdała sobie sprawę, że się myliła. Strasznie się myliła. Nie byłoby jej przyjemniej we własnym łóżku. Mieć go obok siebie, leżeć znów w jego objęciach graniczyło z pobytem w niebie.

Już zasypiała, kiedy poczuła, jak przesunął rękę i rozpostarł palce na jej brzuchu. Westchnęła z drżeniem.

- Mogę nie być w ciąży - mruknęła.

- Jednak jeśli jesteś... - jego dłoń grzała ją przez cienką bawełnę koszuli nocnej - nasze dziecko tu śpi. Syn lub córka.

- Albo bliźnięta. W rodzinie mojej matki było dużo bliźnięt.

Roześmiał się, czuła jego śmiech całymimi plecami.

- Niech nam Niebiosa pomogą, jeśli się okażą tak samo impulsywne jak ty.

Potrafiła to sobie wyobrazić tak dobrze, jakby jej dzieci stały przed nią: córka, mająca ciemne włosy, oczy swego ojca, jego poważną naturę, spokój, logikę i błyskotliwość, i syn, z bystrymi oczami takiej samej barwy jak jej, przyprawiający rodziców o ciągły ból głowy pakowaniem się w kłopoty.

Zacisnęła powieki. Wsłuchując się wystarczająco mocno, mogła je wręcz usłyszeć. Ich śmiech. Ich słodkie głosy wołające ją. Pragnęła tego. Pragnęła tych dzieci bardziej niż czegokolwiek wcześniej w życiu - z jedynym wyjątkiem.

Brandt. Nic nie byłoby takie samo bez niego. Miałyby bogate życie, ale gdyby jego nie było u jej boku, brakowałoby najważniejszego elementu. Nieważne, co było wcześniej, nieprawdaż? Teraz mieli szansę, jeśli tylko odrzucą przeszłość i pójdą przed siebie. Przykryła jego dłoń swoją.

- Co zrobimy, jeśli jestem w ciąży?

- To, co teraz. Zorganizujemy sobie życie razem.

Było to niemal idealne odbicie jej własnych myśli. Uśmiechnęła się.

- A jeśli nasze małżeństwo zostanie unieważnione?

- W takim wypadku zaciągnę cię do najbliższego urzędu i w ciągu godziny będzie po ślubie.

- A jeśli odmówię?

- Nie odmówisz. Nie zrobiłabyś tego naszym dzieciom. - Zacisnął swoje palce na jej. - Nie zrobiłabyś tego nam.

- Dziecko nie zlikwiduje różnic pomiędzy nami. Małżeństwo też nie.

- Nie. Tylko jedno jest w stanie to uczynić: dostatecznie długi czas, żebyśmy sobie mogli z tym poradzić. - Pocałował ją delikatnie w czubek głowy. - Teraz śpij, kochanie. Musisz wypocząć. Wszystko może poczekać do jutra.

Miri zamknęła oczy i pozwoliła, by spłynął na nią senny spokój. Ostatnia myśl przed zaśnięciem wywołała uśmiech na jej ustach. Rano. Kiedy nadejdzie ranek, będzie się znajdowała w najbardziej upragnionym miejscu na świecie -w jego objęciach.

Brandt odwiesił słuchawkę i zaklął pod nosem. Szarpnął drzwi prowadzące na balkon przy jego gabinecie, podszedł do balustrady i oparł się o nią obiema rękami. Odetchnął głęboko, walcząc o odzyskanie równowagi.

- Brandt? - Miri dołączyła do niego na balkonie. - Wszędzie cię szukałam. - Przerwała, natychmiast wyczuwając jego furję. Podeszła, chwyciła go za rękę. - Co się stało?

- Właśnie dostałem informację, że nasze małżeństwo zostało unieważnione.

- Spodziewaliśmy się tego.

- To prawda. - Spróbował się uśmiechnąć. - Tylko że nie tak prędko. Miałem nadzieję na trochę więcej czasu. Najwyraźniej jednak twoja rodzina nie zamierza nam go dać.

- Są zamieszani w to unieważnienie? - spytała, zszokowana.

- Lander zadzwonił osobiście. Poinstruował mnie. -Brandt zaśmiał się szorstko. - Do diabła, nie owijajmy w bawełnę. Rozkazał mi cię odwiedzić w ciągu dwudziestu czterech godzin albo poda fakt porwania do

publicznej wiadomości. Będzie też zmuszony - cytuję! - podjąć odpowiednie kroki. Nie wątpię, że kiedy my tu rozmawiamy, Służba Bezpieczeństwa Merricka planuje atak.

- Przyszłam ci powiedzieć, że mam jutro wizytę u lekarza. Kiedy ogłosimy, że jestem w ciąży, nie będą się wtrącać, jeśli postanowimy ponownie się pobrać - zawahała się, po czym dokończyła z trudem: - O ile... o ile nie będziesz wolał zakończyć naszego związku. Gdyby się miał okazać przeszkodą...

Przeszkodą? Skąd, u diabła, coś takiego przyszło jej do głowy? Naprawdę sądziła, że lepiej by im było osobno? Już sama myśl o utraceniu jej wzbudziła w nim dziką furję. Z wysiłkiem się opanował. -Nie.

Jedno słowo, wysyczone przez zaciśnięte zęby, ale jej reakcja była natychmiastowa.

Z okrzykiem ulgi zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go namiętnie. Ostatni raz całowała go z własnej woli na Mazone. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo tęsknił za jej spontanicznością, jej inicjatywą. Gdyby miał czas się zastanowić nad ich nocą poślubną, nigdy by nie pomyślał, że spał z Alyssą, że to jej ust dotykał swoimi. Miri wkładała w pocałunki całą siebie. Zdał sobie sprawę, że zawsze tak robiła. Nigdy się do niczego nie zabierała połowicznie.

Wplótł palce w jej włosy, pragnąc długiego, powolnego pocałunku. Dostał gwałtowny i pożądlivy. Próbował być łagodny i spokojny, ale jednym skubnięciem warg odwróciła to.

Kiedy w końcu uniósł głowę, zobaczył, że patrzyła na niego, jakby właśnie skończył zawieszać słońce na niebie. Wargi miała zaczerwienione, rozchylone, proszące o więcej. Nie mógł się temu oprzeć. Wpił się w nią i

tym razem również go zaskoczyła, bo dała mu taki pocałunek, jakiego chciał wcześniej. Bardzo powolny i bardzo staranny.

Minęło kilka bardzo długich minut. Odsunęła się z westchnieniem.

- Zdajesz sobie sprawę, że jutro o tej porze będziemy wiedzieli, czy jestem w ciąży? - W oczach zalśniły jej łzy radości. - O Boże, mogę być matką.

- A ja - dodał, z ogromną satysfakcją - będę ojcem.

A najlepsze, że kiedy jej ciąża zostanie potwierdzona, będzie mógł załatwić sprawę z Montgomerymi raz na zawsze, a potem uczynić Miri swą prawną małżonką, nieważne z czym lub z kim trzeba będzie walczyć, by to osiągnąć.

- Przykro mi, Wasza Wysokość.

- Mnie też - odparła Miri. Próbowała się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło. - Byłam pewna... oboje z Brandtem byliśmy.

Lekarz dotknął jej ramienia.

- Jest pani młoda. Ma pani dużo czasu na założenie rodziny. Jednak muszę panią ostrzec. Przy tak nieregularnych cyklach może to zająć więcej czasu niż przeciętnie. Proszę być cierpliwą. I pilnować diety. Powinna pani troszkę przytyć, jeśli ma to być zdrowa ciąża. Proszę też wyeliminować stres z życia.

- Rozumiem. Żadnych więcej fałszywych ślubów czy porwań.

Brwi lekarza uniosły się wysoko.

- Przepraszam bardzo?

- Proszę mi wybaczyć. To był kiepski żart. - Wyciągnęła dłoń. -

Dziękuję, że mnie pan tak szybko przyjął.

- Odrobina szczęścia i pojawi się tu pani za kilka miesięcy, a ja będę miał lepsze wieści. - Podprowadził ją do drzwi. - Proszę też przyjąć gratulacje i najlepsze życzenia dla pani i księcia Brandta. Nie słyszałem o waszym ślubie.

- To prawda, niewiele osób o tym wie - zgodziła się nieuważnie. - Była to pewna niespodzianka. Nawet dla niego.

- Rozumiem. - Z zaskoczonej miny wywnioskowała, że tak naprawdę w ogóle nie rozumiał. I dobrze. - Jeszcze raz, Wasza Wysokość, żałuję, że nie mam dla pani lepszych wiadomości.

- Ja też.

Miri wyszła z gabinetu lekarskiego i przeszła przez parking, gdzie prawa ręka Brandta, Tolken, czekał przy samochodzie.

- Dziękuję - bąknęła, gdy otworzył drzwi.

Wsiadła, powstrzymując łzy. W gabinecie lekarskim była jeszcze w szoku, ale teraz smutne implikacje tej sytuacji zaczynały do niej docierać. Przycisnęła dłoń do brzucha, czując w nim pustkę sięgającą serca. To wcale nie tak, jakbym straciła dziecko - usiłowała przekonać samą siebie - żadnego nigdy nie było. Jednak właśnie tak się czuła.

Jak Brandt zareaguje na tę wiadomość? Tak się cieszył na myśl o dziecku, taki był miły i czuły. Co się stanie, gdy się dowie, że jednak nie jest w ciąży? Będzie mu przykro czy poczuje skrywaną ulgę? Może i dobrze, że oboje nie uprawiali seksu od czasu nocy poślubnej. Dzięki temu mogli podejmować decyzje dotyczące ich przyszłości, nie dodając dziecka do tego wszystkiego. Jednak nie mogła się powstrzymać od zastanawiania się, czy, kiedy prawda wyjdzie na jaw, nadal się będzie chciał z nią ożenić? A może postanowi zakończyć ten związek?

Ta myśl krążyła jej po głowie bezustannie. Jednak im dłużej ją rozważała, tym bardziej wydawała jej się prawdopodobna. Jak dotąd nie byli naprawdę małżeństwem. To prawda, przyjechał po nią, tam w garażu, chciał być z nią, choć nawet nie podejrzewał, że mogłaby być w ciąży. Jednak jeśli za tym porwaniem stała złość? Może tylko pragnął zemsty za to, co mu zrobiła, i zmienił plan, gdy się dowiedział o jej potencjalnej ciąży? Może dopiero wtedy pomyślał o prawdziwym małżeństwie?

Ukryła twarz w dłoniach. Już nie wiedziała, co ma myśleć. Istniał tylko jeden sposób na przekonanie się o jego intencjach. Powiedzieć mu prawdę. Zobaczyć, jak na nią zareaguje.

- Przykro mi, Wasza Wysokość. Żałuję, że nie mam dla pana lepszych wiadomości.

- Ja też - odparł Brandt, z zadziwiającym spokojem.

- Już zorganizowałem grupę księgowych i prawników do pomocy. Jedno pańskie słowo i staniemy na głowie, żeby sprawę wyjaśnić. Nie mieści mi się w głowie, jak ktokolwiek mógł uwierzyć, że działał pan w porozumieniu z Lauren De Vida w celu kradzieży ametystów i ich sprzedaży na czarnym rynku.

- Doceniam wasze wsparcie.

- Wasza Wysokość! - Jego zarządca zdawał się zaskoczony tym komentarzem. - Oczywiście, że pana wspieramy! Wiemy, że nigdy nie był pan winien tak skandalicznego przestępstwa. Niestety, sprawa wynikła w bardzo niefortunnym momencie.

Wyjątkowy eufemizm. Brandt powstrzymał ponury śmiech.

- Moment nie jest niefortunny, tylko idealny. Aż nadto idealny. Jeśli jesteś Montgomerym.

Zapadła chwila pełnej oburzenia ciszy.

- Rozumiem. Natychmiast ktoś się tym zajmie.

- Dziękuję ci, Maitrim.

Brandt odłożył słuchawkę z grymasem na twarzy. Podejrzewał, że do rozwiązania tego problemu można by skierować całkiem sporą grupę ludzi, nie osiągając żadnych rezultatów. Na pewno nie przed elekcją. Może nawet i później nie.

Nalał sobie drinka, rozważając możliwości. Gdyby nie ciąża Miri, wszystko byłoby proste. Obowiązek. Honor. Odpowiedzialność. Poświęcenie. Jego obowiązkiem było chronić Miri oraz dziecko, które spłodził. Niestety, oba te zadania stały się nawzajem wykluczające.

Żeby chronić dziecko, musi poślubić jego matkę. Chronienie Miri oznaczało odesłanie jej do rodziny. No to wobec którego z nich jest bardziej odpowiedzialny? Zakręcił szklaneczką z whisky. Wiedział, co by rzekł jego dziadek. Dziecko jest ważniejsze, bo bardziej bezradne i niewinne. Gdyby nie ono... Wypił drinka jednym haustem. Dzięki Bogu za tę ciążę, bo w ten sposób wybór był tylko jeden. Bez niej honor nakazywałby mu chronić Miri przed nadciągającą burzą.

Jego obowiązkiem byłoby poświęcić to, czego pragnął najbardziej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W chwili gdy Brandt zobaczył Miri, zdał sobie sprawę, że coś poszło wyjątkowo źle. Czyżby się dowiedziała o postawionych mu oskarżeniach? A może coś jeszcze gorszego? Zerwał się na równe nogi. Dziecko! Proszę, Boże, niech nic nie będzie ich dziecku. Po tym, co w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin mu się przydarzyło, ono było jedyną dobrą rzeczą, na której mógł się oprzeć.

- Co się stało, kochanie? - Obszedł biurko i objął ją. - Chodzi o ciążę? Coś nie tak z dzieckiem? - spytał pospiesznie.

Potrząsnęła głową i spojrzała na niego wielkimi, pełnymi łez oczami.

- Wybacz Brandt. - Broda jej się zatrzęsała i łza spłynęła po policzku.

- Myliłam się. Nie jestem w ciąży.

- Cii... - Przytulił ją, żeby się mogła wypłakać. - Strasznie mi przykro. Wiem, jak banalnie to brzmi, ale tak naprawdę jest. Miałem nadzieję...

Ona też. Najwyraźniej pragnęła tego dziecka tak samo mocno jak on. Nie mógł się z tego nie ucieszyć, choć jednocześnie opłakiwał nieistniejącego potomka, do którego już się przez dwa dni zdążył przyzwyczaić. Pragnął mieć dzieci z Miri. Teraz zdał sobie sprawę, że stało się to niemożliwe, że to już nigdy nie nastąpi. Miał wszystko, a w ciągu kilku sekund został z niczym.

Uzbroił się przeciwko temu, co musiało teraz nastąpić. Gdy już miał pewność, że Miri nie jest w ciąży, jego wybór zmienił się diametralnie. Był za nią odpowiedzialny. Honor i obowiązek nakazywały mu ją chronić. Co oznaczało odesłanie jej do rodziny. Nie było żadnego sposobu, żeby to

zrobić, nie raniąc jej. Może to jednak i dobrze? Jeśli jej sprawi ból, może sama zechce odejść.

- Wygląda na to, że dziś jest dzień wiadomości, dobrych i złych.

Uniosła głowę z jego ramienia.

- A brak dziecka jaką jest? - szepnęła. Jej oczywisty ból wyrывał mu serce z piersi. - Dobrą czy złą?

- Czy w ogóle musisz pytać? - Odgarnął jej włosy z twarzy i starł łzę z policzka. - Żałuję, że nie ma dziecka. Już je uczyniłem częścią swojego życia. Częścią przyszłości.

- Ja też.

- Muszę ci coś powiedzieć, Miri.

- To będzie dobra wiadomość?

- Tak, dobra. - Całej siły woli wymagało od niego utrzymanie pogodnego wyrazu twarzy. - Teraz, kiedy nasze małżeństwo zostało unieważnione i nie ma dziecka, możesz swobodnie wrócić do domu.

- Niby dlaczego ma to być dobra wiadomość? Dobre pytanie.

- Bo już nie będę cię przetrzymywał wbrew twojej woli. Jestem pewien, że twojej rodzinie bardzo z tego powodu ulży. Uważają, tak samo jak ja, że w tych okolicznościach twój pobyt tutaj jest niewłaściwy.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Powiedziałeś, że Averno jest moim domem. Powiedziałeś, że w razie unieważnienia ożenisz się ze mną powtórnie.

- Tak było, gdy sądziłem, że jesteś w ciąży. Wyszarpnęła mu rękę i cofnęła się o krok.

- A więc to dziecko było jedynym powodem, dla którego chciałeś się ze mną ożenić? To mi chcesz powiedzieć?

Z trudem wytrzymał ten wyraz niedowierzania na jej twarzy.

- Przywiozłem cię tu wbrew twojej woli, jak mi wielokrotnie powtarzałaś. Teraz pozwalam ci odejść. To jest właściwe.

- Proszę, Brandt, nie rób tego. Nie wiem, co się dzieje, ale nie odejdę, dopóki mi nie wyjaśnisz dokładnie powodów, dla których mnie teraz odsyłasz. To z powodu mojej rodziny? Grożą ci?

Miał w ręku już tylko jeden, ostatni atut, którego nie chciał używać. Jednak był jedynym, który mógł zadziałać. Zaciśnął pięści.

- Powtórzę. Przywiozłem cię tu, wierząc, że jesteśmy małżeństwem. Skoro tak nie jest, niewłaściwą rzeczą by było, żebyś tu nadal przebywała. Nie tylko twoja reputacja jest zagrożona. Wciąż jeszcze trzeba brać pod uwagę elekcję.

Pojęła wszystko w kilka chwil i zachnęła się z wściekłością.

- Chodzi o wygranie wyborów? Odsyłasz mnie bo... bo co? Zaciągniecie mnie do łóżka bez ślubu kosztowałoby cię parę głosów? Tak bardzo chcesz być królem, że poświęcisz dla tego nasze wspólne życie?

Zmusił się do wyduszenia odpowiedzi przez zaciśnięte zęby.

- Tak.

Stała nieruchomo przez nieskończenie długą chwilę, jakby czekając, by się z tego wycofał. Z każdą sekundą jej nadzieja umierała boleśnie, a on ginął razem z nią, patrząc na to. W końcu podniosła brodę do góry.

- Dobrze. Skoro to jest ważniejsze, możesz się udławić tą swoją koroną. Idę się pakować.

Ukrył się za kamienną twarzą.

- Dziękuję. Zorganizuję ci lot do domu. Tolken cię poinformuje, kiedy helikopter będzie gotowy.

Miri odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, trzymając wysoko głowę, mimo że czuła się, jakby właśnie jej życie się skończyło. Dopiero na korytarzu się załamała. Po policzkach popłynęły łzy. Zignorowała je, zmuszając się do kolejnych kroków, jeden po drugim, aż dotarła do swojej sypialni.

Przez nieskończenie długie kilka minut stała na środku pokoju, rozglądając się w oszołomieniu. Powiedziała Brandtowi, że idzie się pakować, ale tak naprawdę to nie miała nic do zabrania. Żadna z sukien wypełniających szafy nie należała do niej, choć założyłaby się o ostatniego dolara, że Brandt by się z tym nie zgodził. Nazwałby je podarunkami. No cóż, odmówi wzięcia czegokolwiek, co jej kupił. Odjedzie stąd tak, jak przyjechała.

Ta myśl pchnęła ją do działania. Podbiegła do garderoby. Szybko znalazła ubranie, które miała na sobie, gdy z Alyssą i Julianną wymykały się w przebraniu z pałacu na wycieczkę do centrum handlowego.

Umywszy twarz, włożyła spodnie i koszulkę i spięła włosy, szykując się do drogi do domu. Gdy zbierała rzeczy do torebki, zadzwoniła komórka. Sprawdziła numer i prawie się rozplakała, widząc, że to jej mama.

- Mamusiu?

- Właśnie się dowiedziałam - powiedziała Rachel bez niepotrzebnych wstępów. - Nic ci nie jest?

Miri opadła na brzeg materaca.

- Zaraz, nic nie rozumiem. Jak ci się udało dowiedzieć tak szybko?

Kto ci powiedział? Brandt dzwonił?

- Nie, nie. To Lander. Sam się dowiedział od Tymczasowej Rady Królewskiej. Och, dziecinko. Bardzo się martwi. Oferuje wszelką pomoc, jaką tylko może dać.

Co? Miri uniosła dłoń ku zaczynającej pulsować bólem skroni. To było bez sensu. Jak Rada mogła się dowiedzieć o jej ciąży?

-Nic nie rozumiem. Co Lander ma wspólnego z... -Nagle doznała olśnienia. - Zaczniemy od początku. Dlaczego dzwonisz?

- Oczywiście dlatego, że usłyszałam o oskarżeniach pod adresem Brandta.

- Jakich oskarżeniach?

- To ty nie wiesz? - Rachel była zdziwiona. - Niewiarygodne. Prawdopodobnie sądzi, że cię chroni. To wpływ jego dziadka, bez wątpienia. Typowy verdoniański mężczyzna.

Dłoń Miri zacisnęła się na aparacie.

- Mamo, na litość boską! O czym ty mówisz?

- Mówię o oskarżeniach wysuniętych pod adresem księcia Brandta - padła sucha odpowiedź. - Mówi się, że współpracował z tą Lauren DeVida przy kradzieży ametystów i sprzedaży ich na czarnym rynku. Oburzająca bzdura oczywiście.

Miri zerwała się na równe nogi.

- To skandal! Kto twierdzi, że Brandt jest w to zamieszany?! Kto wysunął te oskarżenia?!

- Tymczasowa Rada Królewska. Otrzymali jakieś nowe dowody.

- Jakie dowody?! Gdzie?! Od kogo?!

- Nie wiem. Lander próbuje się tego dowiedzieć.

- To niemożliwe! - Zdała sobie sprawę, że krzyczy do telefonu. Spróbowała się nieco uspokoić. - Brandt nigdy by nikogo nie okradł, a już na pewno nie kraj, który przysięgał chronić. Nigdy. Honor i poczucie obowiązku są jego nieodłączną częścią.

W słuchawce zapadło długie milczenie.

- Kochasz go, prawda? - spytała w końcu Rachel.

- Tak, kocham go. - Musiała się w sobie zebrać, żeby odzyskać panowanie nad sobą na tyle, by myśleć w miarę normalnie. - Odsyła mnie, mamę. Nasze małżeństwo zostało unieważnione, a ponieważ nie jestem w ciąży...

- W ciąży!

- Słuchasz mnie?! Powiedziałam: nie jestem w ciąży!

- Tak, słyszę. - Rachel westchnęła. - Tak jak już mówiłam, dziecinko, widać jasno, że chce cię chronić, odsyłając. Najwyraźniej nie chce, by twoja reputacja ucierpiała w tym całym przykrym zamieszaniu.

Czy to możliwe? Miri usiadła na brzegu łóżka. Nawet bardziej niż prawdopodobne.

- No cóż. W takim razie nie opuszczę go. Nie teraz.

- Jemu nie jest łatwo się przeciwstawić - ostrzegła Rachel. - Potrafi być bardzo przekonujący.

Coś w głosie matki zwróciło uwagę Miri.

- Tak z ciekawości, skąd ty możesz o tym wiedzieć? Minęła dość niezręczna chwila ciszy, zanim Rachel odpowiedziała niepewnie:

- Och, no dobrze. Jeśli już musisz wiedzieć, Brandt przekonał mnie, że bym mu powiedziała, kiedy będziesz poza pałacem, tak żeby mógł się z tobą skontaktować. Powiedział, że spróbuje rozwiązać konflikt pomiędzy

wami - przyznała niechętnie. - Dużo z tego przyszło! Najpierw cię porwał, a teraz cię odsyła, jakbyś była niepasującą parą butów. Ależ ten człowiek ma tupet!

- Ty mu powiedziałaś, jak mnie może znaleźć? - Nie mogła uwierzyć.

Rachel odchrząknęła.

- Byłaś taka zmartwiona - zaczęła wyjaśniać. - Tak cierpiałaś. Nawet jeśli by wam nie wyszło, przynajmniej by spróbował. Niech to szlag, Miri, miałam dobre chęci.

- Wiem, mamó. Prawdę mówiąc, siedzę tu i się zastanawiam, czy być na ciebie zła, czy ci dziękować.

- Podziękuj, ja się ucieszę i uznamy sprawę za zamkniętą. A teraz, jak zamierzasz odkręcić ten cały bałagan?

- Daj mi minutkę. Myślę. - Miri potarła czoło. - Przede wszystkim koniecznie trzeba, by Julianna przyjrzała się porządnie tym dowodom dostarczonym do Rady i spróbowała z nich coś wyciągnąć. Znalazła nieścisłości, które oczyściły imię Landera, więc może zdoła zrobić to samo dla Brandta. Myślisz, że zechce pomóc?

- Pomoże. Gwarantuję.

- Świetnie. W międzyczasie zamierzam zastosować metody Merricka.

- O Boże, aż się boję spytać.

-Zamierzam porwać swojego byłego męża. - Miri uśmiechnęła się groźnie. - Biorąc wszystko pod uwagę, to będzie po prostu fair, nie sądzisz?

Brandt cisnął piórem.

- Co to znaczy, że nie chce wyjechać? Tolken wzruszył ramionami.

- Jej Wysokość powiedziała, że nie ruszy się stąd, jeśli pan nie będzie jej towarzyszył.

- No, zobaczymy. - Brandt rzucił papiery, nad którymi pracował, na stos leżący obok na biurku, i wstał. Szybkim ruchem złapał marynarkę wiszącą na oparciu krzesła i włożył ją. - Idziemy - zakomenderował.

Znalazł swoją żonę. Nie, nie żonę, musiał się upomnieć. Czekwała na trawniku koło lądowiska dla helikopterów. Stała spokojnie z boku, w brązowych spodniach i pasującej do nich koszulce. Odgarnęła włosy do tyłu, splatając je w prosty warkocz. Drobną, stojącą przed ogromnym helikopterem, z małą walizką u stóp, wydawała się delikatna, bezradna i zagubiona. Wiele go kosztowało, by nie wziąć jej na ręce i nie zanieść do sypialni. Do diabła z honorem, obowiązkiem i odpowiedzialnością.

Walczył ze sobą, by pamiętać, że Miri wcale nie jest ani delikatna, ani bezradna, ani zagubiona. Wcale to jednak nie zmieniło jego tęsknoty, by ją zabrać do sypialni. Podszedł do niej.

- O co chodzi? - zapytał ostro. - Coś nie tak?

- Wszystko w porządku. Poinformowałam tylko Tolkena, że nie ruszę się stąd, jeśli mnie nie odwieziesz. - Uniosła lekko brew, królewskim gestem. - Zważywszy na wszystko, uważam, że mniej już nie możesz zrobić. Nieprawdaż?

Przez moment się zastanawiał, czy nie wszcząć dyskusji. Jednak jeśli zgoda na towarzyszenie jej przyspieszy jej powrót do Verdon bez dalszych kłótni, to jakoś to przeżyje.

- Dobrze, odwiozę cię do domu. - Chwycił walizeczkę i wskazał gestem helikopter. - Możemy?

Trochę się obawiał, że odmówi wzięcia czegokolwiek z kupionych przez niego rzeczy, ale z ulgą zobaczył, że podeszła do tego nieco bardziej rozsądnie. Choć w walizeczce mogło się zmieścić nie więcej niż jedna czwarta tego, co wisiało w szafach, przynajmniej parę sztuk się nie zmarnuje. Tolken szybko umieścił ich na pokładzie, upewnił się, że wszyscy są dobrze przypięci, usiadł koło pilota i wzniesli się w powietrze.

Miri siedziała wyprostowana obok niego, z dłońmi złożonymi na udach, patrząc nieruchomo przed siebie, i Brandt przyglądał jej się z coraz większą podejrzliwością. Zbyt łatwo poszło. Na pewno coś knuła. Zanim zdążył rozważyć nieskończoną wręcz liczbę możliwości, jakie potrafi wymyślić ktoś tak impulsywny, Tolken odezwał się przez interkom:

- Jest kłopot, Wasza Wysokość. Pilot uważa, że jest jakiś problem z dopływem paliwa. Szuka miejsca do lądowania, by to sprawdzić.

- Niedaleko stąd jest polana. - Brandt rzucił Miri zaniepokojone spojrzenie. Jego plan zakładał oddalenie od niej niebezpieczeństw, a nie narażanie jej na nie. - Niech się rozgląda za jeziorem, nieco na północ od naszej obecnej pozycji. Nad brzegiem jest chata i przystań. W pobliżu powinno być niezłe lądowisko.

Helikopter zakrztusił się na moment, po czym ostro skręcił we wskazanym kierunku. Po kilku minutach ujrzeli jezioro.

Pilot precyzyjnie posadził maszynę niedaleko chaty i poradził, żeby wszyscy wysiedli i rozprostowali nogi, a on w tym czasie sprawdzi, co się dzieje.

Brandt odpiął pas, Miri i Tolken też.

- Ile czasu zajmie sprawdzenie? - spytał, kiedy odeszli poza zasięg wciąż jeszcze obracających się łopat.

- Nie jestem pewien, Wasza Wysokość - odparł Tolken. - Spytam pilota i powiem panu najszybciej, jak się da. Jeśli potrwa to zbyt długo, zadzwonię po samochód. Mogę pożyczyć pańską komórkę? Moja wysiadła.

Brandt skinął głową, podając aparat.

- Oczywiście.

Odczuwał taką ulgę, że Miri jest bezpieczna, że nie obchodziło go, ile czasu zajmie naprawianie tej przeklętej maszyny.

- Wrócę jak najszybciej - powiedział Tolken i ruszył do helikoptera.

Miri dotknęła ręki Brandta i wskazała na chatę.

- Wydaje mi się znajoma. Czy ja tu już byłam? Odwracając się tyłem do helikoptera, spojrzał na nią zdziwiony.

- Naprawdę nie pamiętasz?

- Nic a nic. - Ruszyła w stronę chaty przez wysoką do kolan trawę. Poszedł za nią. - Kiedy ja tu byłam? Musiało to być wieki temu.

- Piętnaście lat, może więcej. Jestem zdziwiony, że nie pamiętasz. To wtedy uratowałem...

Przerwał mu narastający gwizd za plecami. Odwrócił się gwałtownie i kompletnie zaskoczony zobaczył, że helikopter unosi się w niebo. Zawisł na moment dokładnie nad nimi, po czym odleciał na południe, znikając szybko za drzewami. Została tylko walizka Miri. Stała pośrodku kręgu zgniecionej trawy jak absurdalny pomnik jego niebotycznej głupoty.

Ogarnęła go wściekłość. Odwrócił się do dziewczyny.

- Co się tu, u diabła, dzieje?

- Musimy porozmawiać w cztery oczy, w miejscu, z którego nie możesz uciec albo mnie odesłać. - Wzruszyła ramionami. - Tolken był tak miły, że się zgodził współpracować.

- Tolken jest zwolniony.

Ku jego zdziwieniu w ogóle się tym nie przejęła.

- Merrick będzie szczęśliwy, zatrudniając go. Od lat próbuje go podkupić.

- To jest śmieszne! - Sięgnął do kieszeni po komórkę i zaklął pod nosem, kiedy sobie przypominał, jak się dał zrobić. - Nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. Ty wracasz do domu. Nie ma żadnego powodu, żebyśmy pozostawali razem, i na tym koniec.

Oparła dłonie na biodrach.

- Honor. Obowiązek. Odpowiedzialność. Jak odesłanie mnie zgadza się z tymi słowami? A może to pasuje do innej lekcji, której się nauczyłeś od dziadka? Może chodzi o poświęcenie?

- Chodzi o to, że nie jesteś w ciąży, nie jesteśmy małżeństwem i... - Do pioruna! Co to jeszcze było? Tak go skołowała, że nie potrafił jasno myśleć. A tak: - No i o moje plany wydarcia tej cholernej korony twojemu przekłętemu bratu!

Miała dość tupetu, żeby podejść i oprzeć mu palec na piersi.

- Nie wierzę ci. Wszystko, co mówiłeś o dziecku i wspólnej przyszłości, było tylko gadaniem? Pustymi słowami?

- Wybacz. Wiem, że rozmawialiśmy o przyszłości. Ale to rozwiązanie jest lepsze.

Potrząsnęła głową z dezaprobatą.

- Jak widzę, nie wykręcę się od roboty. - Poszła po walizkę, wzięła ją i ruszyła przez wysoką trawę do chaty.

- Nie mam klucza - krzyknął za nią.

- Ja mam.

Zdusił słowo, za które dostałby od Miri w twarz, gdyby je usłyszała. Wprost czuł, jak frustracja paruje z niego wszelkimi porami, kiedy tak sobie szła spokojnie, mając w nosie jego gniew. Przekreśliła klucz w zamku. Musiała się mocno zaprzeć, żeby otworzyć drzwi. Błysnęło mu, że powinno się je jak najszybciej naprawić. Po chwili wahania poszedł za nią.

- Jeszcze raz cię spytam, Miri. Co ty robisz? Otwierała po kolei okna chaty, żeby ją przewietrzyć.

Przez żaluzje wpadał lekki wiatr, delikatne zasłonki powiewały w nim jak białe flagi.

- Ja? Czekam na wyjaśnienia.

Co się dzieje z tą kobietą? Żadna inna, do diabła, nikt inny nie miał dość odwagi, żeby tak walczyć jak Miri. Czy ona nic nie zrozumiała? Wydał polecenie, ona ma słuchać. To zawsze działało. Powiedział jej najbardziej brutalnie, jak potrafił, żeby odeszła. Dlaczego wciąż tu była, dręcząc go? Musiał ją umieścić w bezpiecznym miejscu, żeby się zająć oskarżeniami, skupić się na nadchodzących wydarzeniach.

- To bezcelowe, Miri - powiedział ostro. - Nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

- Doprawdy? - Przerwała na chwilę oglądanie chaty i stanęła przed nim, krzyżując ręce na piersiach. - A co z oskarżeniami wysuniętymi wobec ciebie? Kradzież ametystów, czy co tam jeszcze? Tu powinno być bardzo dużo do powiedzenia.

Zacisnął zęby z całej siły. Naprawdę zrobiło mu się czerwono przed oczami.

- Jak się dowiedziałas? - wychrypiał.

- Twój szpieg pracuje na dwie strony. Ale tak to się zawsze kończy, gdy się próbuje wykorzystać moją matkę. Bardzo łatwo zmienia zdanie. - Miri machnęła ręką. - To a propos lojalności i różnych takich.

Przejechał palcami włosy, bezskutecznie walcząc o odzyskanie opanowania.

- Czego ty ode mnie chcesz?

Zawahała się na chwilę. Zuchwałość z niej opadła, a *zastąpiła* ją szczerłość, jakże dla niego bolesna.

- Chciałabym wykorzystać okazję, by stanąć u twego boku, jeśli mi na to pozwolisz.

Nie miał pojęcia, jak zdołał potrząsnąć głową, nie mówiąc już o wyduszeniu słów przez ściśnięte emocjami gardło.

- Nie ma mowy.

- Zobaczymy. - Przeszła do kuchni i zaczęła przeglądać szafki i półki. - Mam trzy dni, żeby cię skłonić do zmiany zdania.

Gdyby teraz Tolken wpadł w jego ręce, zrobiłby mu poważną krzywdę.

- Trzy dni? Nie mam trzech dni. Wiszą nade mną oskarżenia, o ile pamiętasz.

- Nie jesteś w stanie zrobić nic więcej ponad to, co w te chwili robią ludzie zdecydowani dowieść twojej niewinności. Jeśli się zdarzy coś naprawdę poważnego, Tolken po nas przyleci. - Przeniosła się do spiżarni, sprawdzając stan zapasów. - Mówił, że chata jest dobrze zaopatrzona.

Głód nam nie grozi. - Uśmiechnęła się, jakby ją to nic nie obchodziło. - Zjadłabym coś. Zobaczmy, co my tu mamy. Tu raczej nie ma lodówki, jak sądzę?

- Nie ma prądu. Wyraźnie się tym ucieszyła.

- Naprawdę? Jakie to romantyczne.

Romantyczne? O nie, wcale nie romantyczne. Jeśli tylko będzie miał tu coś do powiedzenia. Już zadba o to, nieważne, jakim kosztem.

Wściekłość zżerała go od środka, szukając ujścia. Walczył, by się opanować. Będzie jeszcze dość czasu na zaatakowanie Miri za wmanewrowanie go w tę sytuację. Jednak jeszcze nie teraz. Nie kiedy wrząca w nim furia grozi wyrwaniem się spod kontroli. Ściągnął marynarkę, rzucił ją na krzesło i zawinał rękawy.

- Jeśli zostajemy na noc, musimy przygotować lampy naftowe. Ja się tym zajmę, jeśli ty zrobisz coś do jedzenia. Przygotuję też sypialnie.

Ruszył w stronę wyjścia, ale jej pytanie zatrzymało go w pół drogi.

- Tak dla upewnienia się. Powiedziałaś sypialnie, w liczbie mnogiej?

- Bardzo mnogiej.

- W porządku, ale uczciwie ostrzegam: mnogość nie ma najmniejszego znaczenia, jeśli nie zamierzasz zamknąć drzwi na klucz.

- Jeśli będzie trzeba, zabiję je gwoździami. - Nie odwrócił się do niej, tak było bezpieczniej. - Nie jesteś w ciąży Miri. Kiedy stąd wyjedziemy, nadal nie będziesz.

- Jeśli tego właśnie chcesz. Absolutnie nie.

- Oczywiście.

- Dobrze. Zajmij się sypialniami, mnogimi. Ja zobaczę, co się da zjeść. Potem możemy znowu powalczyć.

Dotrzymała słowa. Kiedy tylko zmyli naczynia, zaczęła:

- Cisza i odosobnienie pozwolą nam się dogadać. - Delikatnie, jak na pierwszy serw.

- Dogadać? - Czy ta kobieta zwariowała? - Nie ma się co do czego dogadywać. Cała ta sytuacja to tylko kompletne lekceważenie oczywistości. - Ściemniało się szybko więc zapalił trzy lampy naftowe. Przyciął knoty i podkręci: je tak, by nie stwarzać romantycznej atmosfery. - Powiem wprost: możemy tu zostać trzy godziny, trzy dni, nawet trzy lata i to niczego nie zmieni. Wracasz do domu, gdzie będziesz poza linią frontu.

Wzięła jedną z lamp i zniosła na mały stolik stojący pomiędzy dwoma oknami w centralnej części chaty.

- Sądziłam, że wracam do domu, bo chcesz tego przeklętego tronu. A może w końcu wyjawisz prawdziwy powód?

- Możesz sobie wybrać powód, jaki chcesz, jeśli dzięki temu wrócisz do Verdonu

Przeszła przez pokój i stanęła przed nim. Niezbyt romantyczne światło lamp nadało jej skórze perłowy odcień i rozjaśniało miękką zieleń jej oczu.

- Proszę, Brandt. - Położyła mu rękę na ramieniu. Mnie chodzi tylko o prawdę.

Może gdyby go nie dotknęła, zdołałby się oprzeć. Lecz ta jedna pieszczota zmusiła go, by jej dał, co chciała.

- Dobrze. Prawda jest taka, że nie pozwolę ci pozostać w Avernos, Miri. Nie pozwolę ci ryzykować zszargania reputacji oskarżeniami

wysuwanymi przeciwko mnie. Nie pozwolę też, by nasze dziecko urodziło się w atmosferze podejrzeń.

- Nie rozumiem. Chciałeś się ze mną ożenić, gdybym była w ciąży.

- Nasze dziecko potrzebowało ochrony, jaką daje moje nazwisko, bardziej niż ty potrzebowałaś bezpieczeństwa, jakie daje trzymanie się z dala ode mnie. Teraz, kiedy dziecka nie ma już w równaniu, ty jesteś najważniejsza. Nie pozwolę, by oskarżenia wpłynęły na ciebie. Nie pozwolę ci też na ślub z człowiekiem, który może spędzić resztę życia w więzieniu. Wtedy na ciebie spadłaby odpowiedzialność za całe Avernos. Musiałabyś zrezygnować z własnego życia, żeby sprostać moim obowiązkom. Nie zrobię cię w coś takiego. To za wiele.

- Wybór jest mój.

- Mylisz się, mój.

W jej oczach błysnęła irytacja.

- Lander próbował czegoś takiego z Julianną. Nie chciał, by ją dotknął skandal, gdy ty go oskarżyłaś przed Radą Królewską. Próbował ją zatrzymać w Teksasie, kiedy stawiał czoło oskarżeniom. Nie pozwolił nikomu zawiadomić jej, co się dzieje.

- Nie wiedziałem.

- Jej to się bardzo nie spodobało i mnie też się nie podoba.

- To nie twój wybór. Lander i Julianna byli małżeństwem. - Zebrał się w sobie, by dać radę to powiedzieć: - My nie jesteśmy.

- Dobrze. Niech ci będzie. Tylko że to bez znaczenia. Już niedługo problem zniknie.

- Tego nie wiesz.

- A właśnie, że wiem - odparła. - Julianna sprawdza dla mnie te oskarżenia, o których właśnie mówiliśmy. Spodzie wam się, że wszystko się wyjaśni, zanim Tolken wróci.

Zamarł.

- Co powiedziałaś?

W jego reakcji było coś takiego, że po raz pierwszy prze straszyla się jego temperamentu.

- Powiedziałałam, że Julianna sprawdza zarzuty. Tak jak to robiła dla Landera.

- Wciągnęłaś w to swoją rodzinę? - spytał złowieszczo miękkim głosem.

- Jesteś... moim mężem. Legalnie czy nie. - Cofnęła się o krok, jakby wyczuwając zagrożenie. - Oczywiście, że wciągnęłam w to rodzinę.

- Po pierwsze, nie jestem twoim mężem. Bardzo prawdopodobne, że nigdy nim nie będę. Po drugie, nie miałaś najmniejszego prawa wciągać w to Montgomerych. Biorąc pod uwagę ich udział w kryzysie finansowym Verdonii nie chcę, by ktokolwiek z nich choćby się zbliżył do moich problemów. Czy to jasne?

Zbladła jak papier.

- Jak kryształ. Jedno pytanie.

- Pytaj.

-Kiedy w taki sposób mówisz „Montgomery”, jak byś gardził samym nazwiskiem, czy obejmuje to również mnie?

- Oczywiście, że nie. Ja nie...

- To dobrze. W razie gdybyś zapomniał, ja też jestem Montgomery.

A może ja się nie liczę, bo nie z urodzenia?

- Uniosła brodę. - Czy dlatego mnie tolerujesz? Bo nie jestem prawdziwą Montgomery?

- Ja ciebie nie toleruję. To znaczy...

- To akurat jest aż zbyt boleśnie oczywiste. - Złapała jedną z lamp naftowych i wyszła do sypialni, trzaskając drzwiami.

Niech to diabli! Nie to przecież miał na myśli, wiedziała! Tak wyglądał jej rozwścieczający sposób kończenia dyskusji, gdy nie miała racji. Wmieszała rodzinę. Twierdziła, że nie jest prawdziwą Montgomery. Rano będzie jej miał do powiedzenia parę słów. Chwyciwszy drugą lampę, Brandt skierował się do swojej sypialni, dogłębnie przekonany, że nie będzie potrzebował zamka, a tym bardziej gwoździ, by ją utrzymać z dala od swojego łóżka. A jeśli jego drzwi zamknęły się prawie z trzaskiem, można było zrzucić winę na wiatr.

Jego podmuchy krążyły po głównej izbie chaty. Leciutkie firanki powiewały w nich bezustannie. Wirowały i tańczyły jak ćmy krążące wokół płomienia lampy naftowej stojącej na stoliku pomiędzy nimi.

Do chwili gdy opaliły sobie skrzydła i buchnęły żywym ogniem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miri nigdy się nie dowiedziała, co ją obudziło. Może głośne trzaski, które zakłóciły jej sen, bo były nietypowe? Może zapach albo smugi dymu tam, gdzie go być nie powinno? Albo intuicja. W każdym razie usiadła raptownie na łóżku, w ciągu kilku sekund przechodząc z głębokiego snu do pełnego rozbudzenia. Natychmiast poczuła absolutną pewność, że dzieje się coś wyjątkowo złego.

Wyskoczyła z łóżka, podbiegła do drzwi, w samą porę przypominając sobie, żeby sprawdzić, czy gałka nie jest gorąca. Metal oparzył jej palce przy muśnięciu. Cofnęła się.

Nie panikować! - rozkazała sobie. Nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała się wziąć w garść i wymyślić najlepszy sposób na poradzenie sobie z kryzysową sytuacją.

- Brandt - szepnęła.

Dlaczego go tu nie było? Musiał wciąż jeszcze spać w przeciwnym razie już by walił w drzwi, żeby się do nie dostać. O Boże! Czy ten brak działania może oznaczać coś poważniejszego? Czy dym dotarł już do jego pokoju? Czy był nieprzytomny? Dusił się, kiedy ona tu stała, ogłupiała? Musiała ruszać. Natychmiast.

Odwróciła się błyskawicznie i skoczyła do okna. Straciła bezcenne sekundy na walkę z zasuwką. Okno było stare, niedawno malowane, nie chciało się odsunąć, dlatego nie otworzyła go wcześniej. Trzaski z głównej izby były coraz głośniejsze, ogień zaczął huczeć. Zaryzykowała, przerażona, zerknięcie przez ramię.

Ku jej przerażeniu kłęby dymu przedostawały się pod drzwiami. Udało jej się uchylić trochę okno, ale żaluzja blokowała wyjście. Uderzyła w nią z całej siły, tak że listwy wygięły się na zewnątrz. Po następnym ciosie wypadły z ramy. Najszybciej jak zdołała, niezgrabnie przelazła na otaczającą chatę werandę. Zerwała się na równe nogi, podbiegła do okna obok i zaczęła w nie gwałtownie walić. Żaluzja całkiem stłumiła jej wysiłki.

- Brandt! - krzyknęła. - Brandt, chata się pali! Obudź się!

Żadnej odpowiedzi. Powód mógł być tylko jeden. Stracił przytomność, zatruty dymem. Wybiegła z werandy, w ciemnościach rozpaczliwie szukała kamienia albo drąga dość dużego, by rozbić okno. Znalazła całkiem poręczny kawał skały, przypadkiem kopnąwszy w niego bosą stopą. Podniosła go, pakużytkowała z powrotem i z całej siły cisnęła nim w żaluzję, roztrzaskując znajdującą się za nią szybę.

Z otworu wypłynęły kłęby dymu, po czym nagle przez pomieszczenie przed nią, z ogłuszającym rykiem, przeleciała fala ognia, pochłaniając wszystko na swojej drodze. Fala żaru zmusiła Miri do cofnięcia się. Płacząc, wrzeszcząc do zachrypnięcia, okrążyła płonąca chatę, w szaleńczej nadziei, że Brandt za ułamek sekundy wyłoni się gdzieś z gorejącego budynku. Z każdą mijającą sekundą nadzieja umierała, prawdopodobieństwo zmieniało się w niemożliwość.

Płomienie strzelały ku niebu, buchając już ze wszystkich okien i pożerając dach. Chata stała w ogniu cała, bez wyjątku, nie było już żadnego miejsca, skąd ktokolwiek mógłby uciec. Potknąwszy się o naderwany rąbek koszuli nocnej, Miri ciężko upadła na ziemię.

Nie, nie! Brandt nie mógł umrzeć! Jeśli go straciła, nie będzie w stanie żyć dalej. Kochała go, kochała bardziej, niż wydawało jej się to możliwe. Nie mógł odejść. Bóg by im tego nie zrobił. Nie teraz. Nie kiedy przybyli tu, by się dogadać. Nie kiedy to ona zmusiła go do przybycia tutaj. Zaczęła się trząść.

Jednak widok szalejącego przed nią piekła uświadomił jej, że nikt nie mógł pozostać wewnątrz i przetrwać, Brandt nie żył, prawdopodobnie zatruty dymem, zanim ona się obudziła. Udawanie, że może być inaczej, byłoby głupotą. To jej wina, wyłącznie jej, bo wyobrażała sobie, że go zmusi, by ją kochał. Że zdoła go skłonić do przyznania się do uczuć, których nie było. Na czworakach odsunęła się od żaru i deszczu gorącego popiołu i zwinęła się pod pobliskim drzewem w ciasny kłębek czystej rozpacz.

A potem płakała, długo, rozpaczliwie, bez nadziei, szarpiącymi łkaniem wyrywającymi się wprost z jej serca i duszy.

Brandt skierował światło latarki na ścieżkę w nadziei, że wędrówka wokół jeziora zmęczy go wystarczająco mocno, by zdołał zasnąć, zamiast wyobrażać sobie Miri z nim w łóżku. Był głupcem. Głupcem, że ją porwał. Głupcem, że ją przetrzymywał. A największym, że ją ponownie odesłał.

Spojrzał na jezioro, żeby się zorientować, gdzie jest. Prawie w połowie drogi, ale wcale nie czuł się zmęczony ani senny. Może potrzebne mu drugie okrażenie albo i trzecie? Nagle kątem oka spostrzegł błysk, migotanie światła, którego nie powinno tam być. Zatrzymał się, by się lepiej przyjrzeć. Wyłączył latarkę i wpatrzył się w ciemność.

Zrozumienie, co się dzieje, zajęło kilka chwil. Po drugiej stronie, pomiędzy drzewami, prześwitywał pomarańczowy blask. Tylko jedno mogło tak wyglądać. Pożar.

- Miri! - zaklął w panice. - Boże, nie, nie ona!

Włączył latarkę i ruszył biegiem. Pędy jeżyn i gałęzie wiszące nad ścieżką chwyciły go za ubranie, darły je i jego skórę. Biegł najszybciej, jak potrafił. Korzenie. Głazy. Pnie. Omijał wszystkie przeszkody, skakał nad nimi z oczami wlepionymi w ścieżkę, wolno, jakże wolno pokonując nieskończoną, zdawałoby się, odległość do celu. Przy każdym kroku kątem oka widział rosnące płomienie, widział, że ogień nabiera mocy. Wiedział, choć bardzo by chciał temu zaprzeczyć, że nie zdąży na czas. Przybędzie za późno, by ją uratować.

Umierał w trakcie tego szaleńczego biegu. Wszystko to jego wina. Gdyby został. Gdyby się nie kłócili. Gdyby się zgodził wpuścić ją do swego łóżka i dać jej ostatnią noc miłości, żyłaby. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Do diabła, nie. Postanowił samotnie sobie radzić z oskarżeniami, chronić ją przed publicznym potępieniem. Boże, co za ironia. Zamiast ją ochronić, zabił ją!

Otarł pot z czoła i biegł dalej. Może się obudziła w porę? Może udało jej się uciec? Musiała przetrwać. Musiała. Bez niej nie potrafiłby żyć. Powtarzał te słowa jak mantrę, desperacko, w rytm stóp uderzających o ziemię. A chata płonęła cały czas, rozszalały testament jego porażki.

Kiedy dobiegł do polany, na której stała - a raczej dopalała się - chata, kompletnie brakowało mu tchu. Desperacko rozglądał się dookoła, szukając najmniejszego choćby śladu życia. Nic. Wykrzyczał jej imię, bez

rezultatu. Nikt nie wybiegł z ciemności. Nikt nie wpadł mu w ramiona. Odpowiedział mu tylko słabnący ryk płomieni.

Brandt musiał odejść, odpocząć, oczyścić płuca z dymu, Nie potrafił. Nie bez Miri. Wyprostował się i zatoczył kolejny krąg, tym razem wolniej, uważniej.

Coś jasnego błysnęło mu pod drzewami. Gapił się na to chwilę bezmyślnie. Zwierzę kryjące się przed ogniem pomyślał. Nie, to bez sensu. Zwierzęta uciekają jak najdalej od ognia. Tylko ludzie są tak głupi, żeby się nim entuzjasmować.

Jasna plama poruszyła się.

- Brandt? - usłyszał swoje imię wypowiedziane dygoczącym głosem.

- To naprawdę ty?

Radość, która w nim wybuchła była gorętsza niż ogień, gwałtowniejsza niż wulkan.

- Miri?! O Boże! Miri!

Biegł przez spaloną trawę. Opadł na kolana i chwycił ją w ramiona, wodząc gwałtownie dłońmi po jej twarzy, ramionach, piersi, nogach.

- Jesteś cała? Niepoparzona? Powiedz coś, kochanie! Nic ci nie jest?

- Nie, tak, wszystko w porządku. - Ujęła jego twarz w drżące dłonie, głos jej tak drżał, że trudno ją było zrozumieć. - Gdzie byłeś? Wołałam, krzyczałam, nie odpowiadałeś. Myślałam, że... - Głos jej się załamał, załkała bezradnie. Łzy zostawiały jaśniejsze smugi na jej pokrytych sadzą policzkach. - Myślałam, że cię straciłam.

- Poszedłem się przejść. Byłem po przeciwnej stronie jeziora, gdy zobaczyłem pożar - powiedział, okrywając jej twarz pocałunkami. - Nie

wiesz, co czułem, widząc ogień, kiedy zdałem sobie sprawę, że mogę nie zdążyć.

- Nie zostawiaj mnie. Nie pozwól odejść.

- Nigdy. Nigdy więcej.

Objął ją najmocniej, jak potrafił, przytulił tak silnie, że czuł jej serce bijące w zgodnym rytmie z jego. Za nimi chata się dopalała, żar ognia był prawie nie do zniesienia. Jednak pozostali na trawie, obejmując się.

Dopiero zmiana wiatru, który zaczął ciskać gorącym popiołem i iskrami, zmusiła ich do ruchu.

Pomagając Miri wstać, Brandt ruszył w stronę jeziora.

- Chodź, umyjmy się.

- Nie mamy się w co przebrać. - Obejrzała się przez ramię z niepokojem. - Wszystkie nasze rzeczy spłonęły.

- Na przystani są ręczniki. Możemy się nimi owinać, kiedy spierzemy sadzę z tego, co mamy na sobie, i będziemy suszyć ubrania.

Usłyszał, jak odetchnęła głęboko, wręcz widział, jak odzyskiwała samokontrolę. Mógł tylko potrząsnąć głową w niedowierzaniu, pełen głębokiego podziwu dla nigdy nieustraszonej wytrwałości, będącej nieodłączną cechą jej charakteru. Rozejrzała się.

- Czy do tego jeziora wpada strumień?

- W jednej czwartej obwodu - potwierdził.

- Tam znajdziemy czystą wodę. Założę się, że oprócz ręczników znajdziemy też na przystani wędkę. Może być nieco krucho, zanim nadejdzie pomoc, ale nie zginiemy ani z pragnienia, ani z głodu.

Uśmiechnął się, widząc, jak wraca jej odwaga. To była jedna z cech, które tak u niej podziwiał. Nic nie mogło jej na długo złamać. Przez

trawiastą polaną podeszli do przystani tylko po to, żeby znaleźć solidną kłódkę broniącą dostępu.

- Zapomniałem o tym - powiedział. - Zaczekaj. Okrążył budynek i znalazł solidny kamień, którym mógł odbić kłódkę. Odpadła po kilku uderzeniach. Wewnątrz panowała absolutna ciemność.

- Raczej nie ma tu światła? - spytała.

- Nie. A ja chyba zgubiłem latarkę. Pamiętam jednak, że tuż za drzwiami, na półce, powinny być zapasowe. O, są. Jeśli baterie wytrzymały...

Pierwsza nie działała. Z drugiej uzyskali słabiutką poświatę, wystarczającą, by zebrać stosik ręczników i brezentową płachtę.

- Chodź, opłuczmy się. Potem zrobimy sobie jakieś legowisko.

Poszedł w stronę plaży obok przystani, szerokiego sierpa nawiezonego tu piasku, delikatniejszego niż żwirowaty teren bliżej chaty. Rozłożył brezent, a na nim ręczniki.

Miri doszła na skraj jeziora, gdzie woda zaczęła lizać jej bosc stopy. Nad głową miała srebrny księżyc. Wiał lekki wiatr, owijając jej poplamioną sadzą koszulę nocną wokół nóg, ukazując ich kształt, a włosy unosząc niczym powiewającą flagę. Triumfalny proporzec obwieszczający, że przeżyli. Obejrzała się przez ramię, uśmiechnęła się kusząco do Brandta. Potem weszła do wody, wyglądając jak mityczna nimfa wracająca do domu.

Zachłysnęła się lekko, gdy weszła do pasa, bo woda była dość chłodna. Potem, z lekkim pluskiem, który się rozległ echem po całym jeziorze, znikła pod wodą. Nie czekał dłużej. Zrzucił buty, przebiegł pas piasku i skoczył, nurkując za nią.

Wyłąynęli obok siebie, prawie się zderzając.

- Odświeżające - powiedział, przyciągając ją do siebie.

- Powiedziałabym, że jest raczej zimno.

Nabrała wody w dłonie i umyła mu twarz i szyję. Jej palce poruszały się coraz wolniej. Zwlekały. Sunęły po zdecydowanych rysach jego twarzy, jakby był to najpiękniejszy widok na świecie.

- No, dużo lepiej. Wskazał kącik ust.

- Przegapiłaś.

- Rzeczywiście. - Wykorzystując podporę z jego ramion, wynurzyła się wystarczająco, by pocałować go we wskazany punkt. - Chyba już.

- Teraz twoja kolej - powiedział.

Stając na dnje, zaczął od jej twarzy. Starannie umył na pierw czoło, potem nos i wysokie kości policzkowe. Za trzymał się przy ustach, zastąpił dłonie wargami i pocałował ją. Chłonał ją. Zatracił się w jej delikatnej woni.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił - rzekł zmienionym od emocji głosem.

Wtulila twarz w zagłębienie jego ramienia.

- Patrzyłam, jak chata płonie, i byłam pewna, że zostałeś w środku...

- Słyszał grozę w jej głosie. - Nigdy w życiu nie byłam bardziej przerażona.

Zebrała mokrą koszulę owiniętą wokół niej i jednym płynnym ruchem ściągnęła ją przez głowę, odrzucając w stronę jeziora. Ubrania nie były im już potrzebne.

- Proszę - jęknęła z zamkniętymi oczami. - Powiedz moje imię, Brandt. Tym razem kochaj się ze mną, nie z kimś innym.

- Spójrz na mnie, Miri. - Trzymając ją za włosy, po czekał, aż zrobi to, o co prosił. - Właśnie tak, kochanie Popatrz na mnie tak jak ja na ciebie. Wiem, kogo mam w ramionach. I czy mi wierzysz, czy nie, jakaś część mnie wiedziała, z kim byłem w naszą noc poślubną.

Podbródek jej zadrżał.

- To nie była nasza noc poślubna, tylko twoja i Alyssy.

- Mylisz się. - Jak to zrobić, żeby zrozumiała? - Sądziłem, że mogę o tobie zapomnieć. Że mogę się ożenić z Alyssą i usunąć cię z mojego życia. Tylko że to by się nie udało W chwili, w której próbowałbym się kochać z nią, prawdziwą, wszystko by się obróciło w ruinę. - Odwrócił ich tak by widzieli pożar. - Patrz, my to ten ogień. To się dzieje, gdy się dotykamy. Z Alyssą byłoby to zimne jak popiół, który tam zastaniemy rano.

- Nazwałeś mnie jej imieniem. - Blask księżyca rozświetlił jej oczy, podkreślając czający się w nich ból. - To było ostatnie słowo, które od ciebie usłyszałam.

- Wybacz. Nie chciałem cię ranić.

- Ale zrobiłeś to.

Takie proste słowa, tak bezpośrednie. Popsuł coś, czego być może nie da się naprawić.

- Posłuchaj, kochanie. Wtedy, w łóżku, tamtej nocy poślubnej, Alyssa była ze mną nie bardziej niż przy ołtarzu, gdzie sobie przysięgaliśmy.

- Kościół unieważnił te przysięgi - przerwała mu. - Są bez znaczenia.

- Nieprawda. Nie dla nas. Kościół być może nie uznaje naszego związku, ale ja tak. Ty też.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obudziło ich poranne słońce. Miri przeciągnęła się. Było jej tak wygodnie, że nie miała ochoty się ruszać, a co dopiero wstawać. Leżała na boku, owinięta częściowo ręcznikiem, częściowo Brandtem, z głową na jego ramieniu.

- Myślę, że powinniśmy byli rozwiesić ubrania - zamruczał.

Zaśmiała się lekko.

- Gdybym miała wybór: rozwieszanie albo to, co zrobiliśmy, głosowałabym za tą drugą opcją.

- Ja raczej też.

- Raczej? - Szturchnęła go w żebra, słysząc w odpowiedzi krótki chichot. - Lepiej, żebyś był pewien, Wasza Wysokość.

- Och, ależ jestem, absolutnie.

Spoważniała.

- Jak, według ciebie, zaczął się ten pożar? Czy to ja coś narozrabiałam?

- Zabawne, że pytasz. Właśnie się zastanawiałem, czy to nie ja. - Zmarszczył brwi. - Jestem pewien, że zostawiliśmy w głównej izbie jedną z palących się lamp. Byłem tak wściekły, idąc spać, że w ogóle o tym nie myślałem. Podejrzewam, że wiatr ją przewrócił. A może spadło na nią coś, co się zapaliło.

- Przerazające. - Skuliła się, unosząc głowę, by móc obserwować jego reakcję. - Brandt?

- No nie...

- Musimy dokończyć wczorajszą dyskusję. - W jej głosie zabrzmiały poważne tony. - Choć wolałabym, żebyśmy to zrobili, nie tracąc panowania nad sobą i nie podpalając już niczego.

- Nic ci nie mogę obiecać, ale proszę bardzo.

- Wciąż nalegasz, żebyśmy się rozdzielili? - Wydawała się bardzo zdecydowana. - Ostrzegam uczciwie, że niezależnie od tego, czy będę twoją żoną czy nie, będę stać przy tobie, cokolwiek wyniknie z tych oskarżeń.

Podłożył sobie rękę pod głowę i zapatrzył się na jezioro.

- Kiedy oskarżenia zostaną oddalone, czyli gdy nie będą mogły zaszkodzić twojej reputacji, możesz robić, co tylko chcesz.

- Czy to znaczy, że kiedy twoje imię zostanie oczyszczone z zarzutów, będziemy mogli być razem?

- Właśnie tak, Miri. Ale może się stać zupełnie inaczej. Może się okazać, że sytuacja pozostanie niewyjaśniona. Mogę być podejrzany już na zawsze i żyć w cieniu, którego rozjaśnić się nie da.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Czyżby to było przyznanie się do winy? Bo jeśli tak, to ja w to nie wierzę. Znam cię, Brandt. Nigdy byś nie okradał swojego kraju.

- Komuś zależało na tym, by wyglądało, że to robię - odparł spokojnie. - Oskarżenia...

- Zostaną wycofane, tak samo jak wobec Landera -oznajmiła Miri stanowczo. - Julianna zgodziła się starannie przejrzeć wszystkie dokumenty. Nie waz się mieć mi za złe, że ją zaangażowałam. Kiedy chodzi o finanse i księgowość, nie ma na świecie nikogo lepszego od niej. Masz szczęście, że się zgodziła. Julianna dojdzie prawdy.

- A jeśli nie? Nie ma zbyt wielkiej motywacji, by mnie oczyścić. W obecnej sytuacji twój brat wygrałby elekcję bez walki. Po co więc miałyby to robić?

- Nie jesteś jedyną obdarzoną honorem osobą w Verdonii, Brandt - prychnęła Miri. - Nie ty jeden przedkładasz obowiązek i odpowiedzialność nad własne chęci i nie tylko tobie dobro kraju leży na sercu. Julianna jest honorowa. Tak samo Lander, Merrick i Alyssa. Problem w tym, że nie ufasz Montgomerym. Nie jestem nawet pewna, czy mnie ufasz.

Poderwał się, rozrzucając ręczniki na wszystkie strony.

- O czym ty, do cholery, mówisz? Oczywiście, że ci ufam.

- Nie dość, żeby mnie przyjąć. - Też usiadła, starając się odzyskać choć trochę okrycia. - Nie potrzebuję twojej ochrony, Brandt. Wcale nie musisz o mnie dbać. Świetnie sobie sama daję radę ze swoimi zadaniami. Chcę partnera. Kochanka. Kogoś zaufanego. Ty nie?

-Tak.

- A jednak nie zamierzasz tego zaofiarować, tak?

- Zgadza się.

Chciała szczerości, to miała. Szukała nowej taktyki. W tym krótkim czasie, który spędzili razem, odkryła, że najlepiej sprawdzała się u niego logika. Nie była w tym najmocniejsza, ale zamierzała uderzyć tak, żeby do niego dotarło.

- Nie żądałbyś, żebym odjechała, gdyby nasze małżeństwo nie zostało unieważnione - podkreśliła. - Albo gdybym była w ciąży.

- Wyjaśniłem już dlaczego.

- Pamiętam. Honor wymagałby od ciebie chronienia dziecka. Dania mu nazwiska. Skoro tak starannie rozważasz honor i obowiązek, może powinieneś zwrócić uwagę na jeszcze ważniejszy szczegół?

- Czyli?

- Porwałeś mnie do Avernos. W ten sposób oznajmiłeś całemu światu, że jestem twoją żoną. Nalegałeś na wspólne łożo. W gruncie rzeczy skompromitowałeś mnie. Jak myślisz, jaki to wszystko będzie miało wpływ na moją reputację i sposób postrzegania mnie? Czy jestem w ciąży czy nie, twój honor i tak cię zmusi do poślubienia mnie. A ja ci mogę zagwarantować, że ani moja matka, ani moi bracia nie zaakceptują nic mniej.

-Ty... Ja...

- My - powiedziała twardo. - Nie „ty” czy „ja”, tylko „my”. Tak powinno być i tak będzie od tej chwili. Nie musisz mnie zatrzymywać, jeśli nie chcesz. To twój wybór. Jednak za każdym razem, gdy wyjdiesz z domu, znajdziesz mnie koczującą na schodach. Mam nadzieję, że w końcu się zmęczysz potykaniem się o mnie i zaprosisz do środka.

- Niech cię szlag, Miri. O nikogo nie będę się potykał, siedząc w więzieniu!

-Brandt...

- Ani słowa. - Usiadł, odrzucając ręczniki. - Chodź, księżniczko. Zobaczmy, czy uchowało się tam cokolwiek użytecznego.

Dała spokój dyskusji. Na razie. Jeśli da jej czas na przegrupowanie sił, wystawi nową armię argumentów.

- Co z naszymi ubraniami? - spytała, rozglądając się. - Wątpię, czy wyschły.

- Masz wybór. Albo założysz mokre szmaty, albo je zostawisz, gdzie leżą. Osobiście sędzę, że wygodniej ci będzie bez nich, choć nie wiem, co będzie ze mną, gdy będę patrzył, jak biegasz nago po okolicy. - Udał, że się zastanawia, a w jego oczach pojawił się łobuzerski błysk. - Choć na pewno będzie to dużo przyjemniejsze.

Podniosła się, żałując, że nie czuje się we własnej, nagiej skórze tak swobodnie jak on. Rozważyła jego sugestię, żeby machnąć na wszystko ręką i odnaleźć w sobie pierwotną naturę. Wytrzymała dwie sekundy, potem porwała jeden z ręczników i owinęła się nim. Brandt uśmiechnął się powoli i złośliwie, po czym podążył w jej ślady.

Idąc w stronę chaty, znalazła ubrania porozrzucane po mokrej trawie, rozłożyła je na słońcu, strzepując i sprawdzając stan.

Jej koszula nocna była kompletną ruiną. Oprócz kilku rozdarć, miała sporo wypalonych iskrami dziur, a utyłany sadzą dół spódnicy był niemal całkiem podarty. Ubranie Brandta przetrwało w niewiele lepszym stanie, prawdopodobnie wskutek szaleńczego biegu przez las. I koszula, i spodnie były podarte i poplamione krwią w miejscach, gdzie gałęzie naruszyły nie tylko materiał. Zebrały też imponującą kolekcję powypalanych dziur.

Zdała sobie sprawę, że nic z tym nie zdoła zrobić i dołączyła do Brandta. Stał nieopodal resztek chaty. Ogień wygasł, pozostał stos żarzących się głowni. Zadrżała na ten ponury widok. Mieli w nocy szczęście, o włos uniknęli tragedii. Objął ją ramieniem i przytulił.

- Chodź, to bez sensu - orzekł. - Sprawdźmy hangar na przystani.

- Przydały by się wędki. A jeszcze lepszy byłby świeży pstrąg na śniadanie. Jestem głodna.

- Zobaczę, co się da zrobić.

W końcu mieli pstrąga na śniadanie, choć zajęło to o wiele więcej godzin, niż by się Miri podobało. Jednak i tak warto było poczekać. Kiedy zjedli, resztki ich ubrań wyschły. Choć śmiesznie się czuła, paradując w koszuli nocnej, było to jednak lepsze od ręcznika. Nieco.

Stojąc koło hangaru, Miri patrzyła na jezioro i marszczyła czoło.

- Dlaczego wszystko tu wydaje mi się takie znajome? - mruknęła.

Brandt zaczął jej coś wczoraj wyjaśniać, ale przerwał im start helikoptera.

Odwróciła się i spytała: -Opowiedz o moim ostatnim pobycie tutaj.

Popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- Naprawdę nie pamiętasz? Myślałem, że chodziło ci tylko o odwrócenie mojej uwagi.

- No cóż, to też - zarumieniła się. - Jednak pytanie było szczere.

Naprawdę już tu kiedyś byłam?

- Razem z rodziną byliście na przyjęciu z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin mojego dziadka. Następnego ranka przyjechaliśmy tu spędzić cały dzień nad jeziorem.

- Nie pamiętam.

- A powinnaś. Wtedy po raz pierwszy cię uratowałem.

- To było tutaj? - Przyglądała się jezioru i jego otoczeniu z nowym zainteresowaniem, próbując dopasować wspomnienia do tego, co widzi. - Myślę, że było to tak traumatyczne przeżycie, że wyrzuciłam je z pamięci. Pamiętam, że błagałam braci o zabawę w chowanego. A potem zgubiłam się, a ty mnie odnalazłeś. Tak to było? - spytała niepewnie.

- Trafiłaś na niewielką grotę i wcisnęłaś się do środka, a potem nie mogłaś wyjść. Szukano cię wiele godzin.

- To ty mnie stamtąd wyciągnąłeś. - Zdziwienie błysnęło jej w oczach. - Jak mogłam zapomnieć? Siedziałeś tam i rozmawiałeś ze mną strasznie długo, aż się uspokoiłam. Wtedy właśnie się w tobie zakochałam. Kazałeś mi poszukać kamyka i trzymać go w dłoni. Mówiłeś, że jest magiczny i zmniejszy mnie na tyle, że dam radę się przecisnąć na zewnątrz. Zadziałało. A przynajmniej wtedy w to uwierzyłam. Wciąż go mam w swojej szkatułce. To najpiękniejszy kamień... - przerwała tak gwałtownie, że aż się zachłysnęła.

- Co się dzieje? Coś nie tak? - Podniósł głowę. - Już wiem, też słyszę. Helikopter wraca.

- Nie, to nie dlatego. Brandt... Chwycił ją za rękę.

- Chodź, ratunek nadchodzi.

- Czekaj, Brandt, czekaj! Musisz posłuchać! Helikopter obniżył lot, zataczając łuk nad jeziorem.

Łomot wirnika zagłuszał jej słowa. Wylądował w tym samym miejscu co wczoraj. Kilka sekund później pod wciąż wirującymi łopatomy pojawił się Tolken, blady jak ściana.

Pochylił się w głębokim ukłonie.

- Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość, za mój udział w wydarzeniach wczorajszego wieczoru, jak również, że nie pojawiłem się wcześniej. Niecałą godzinę temu otrzymaliśmy wiadomość od dwojga turystów o pożarze. Czy pan albo księżniczka Miri ucierpieliście? Potrzebujecie pomocy medycznej?

- Nie, nie będzie konieczna. Przyda się tylko zmiana ubrania, a poza tym nic nam nie jest.

Wzrok Tolkena na moment spoczął na Miri, po czym błyskawicznie wrócił do Brandta.

- Mam w helikopterze zapasowy kombinezon. Dla Waszej Wysokości, pani, jest nieco za duży, ale chyba będzie lepszy niż co innego.

- Skoro „co innego” to moja koszula nocna, jestem zmuszona się zgodzić - rzekła Miri sucho. - Jeśli mi go pan przyniesie, przebiorę się na przystani.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

Gdy tylko ruszył do helikoptera, Miri złapała Brandta za ramię.

- Zanim odlecimy, muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy. To naprawdę ważne.

Potrząsnął głową.

- Już dość, Miri. Już wszystko zostało powiedziane. Oboje mamy własne zdanie na temat honoru i obowiązku. Nie sądzę, by w przewidywalnej przyszłości którekolwiek z nas je zmieniło.

- Nie o to chodzi. Tylko...

Tolken przybiegł z pomarańczowym kombinezonym w rękach. Nie mając wyboru, Miri złapała go i skierowała się na przystań. Ubiór był obszerny. Toneła w oceanie pomarańczowej barwy. Rękawy zwisały jej daleko poza dłońmi, nogawki przydeptywała sobie przy każdej próbie zrobienia kroku. Otworzyła drzwi i zawołała Brandta.

- Hej, potrzebuję pomocy.

Przerwał rozmowę z Tolkenem. Choć nie wyglądało to na rozmowę, a raczej na ciężką reprimendę. Rzuciwszy końcową uwagę, zostawił roztrzęsionego pracownika i podszedł, przypominając polującą panterę.

Niebiosa, pomóżcie! Jego Wysokość wydawał rozkazy i sprawiał wrażenie, że jest w nie najlepszym nastroju. Tyle zostało z delikatnego mężczyzny, który obejmował ją w nocy. Pocieszał. Kochał się z nią.

Wszedł do hangaru i zatrzasnął drzwi.

- W czym problem, Miri? Musimy lecieć.

- A ty musisz mnie wysłuchać. - Zanim zdążył jej przerwać, machnęła na niego za długim rękawem.

- Przede wszystkim pomóż mi z tym draństwem. Wszędzie tego za dużo.

- Potem lecimy. Żadnych rozmów.

Razem podwinęli rękawy i nogawki. Popatrzyła na siebie z westchnieniem.

- Wyglądam śmiesznie, prawda?

- Troszeczkę.

- Dzięki - prychnęła. - Powinieneś powiedzieć, że uroczo.

- Twoja koszula nocna była urocza. To... troszkę mniej.

- Aż tak źle? - Złapała parę gumowych sandałów ze stojaka i włożyła je. - Wystarczająco, by cię powstrzymać przed wykorzystaniem mnie?

- Nigdy nie jest aż tak źle.

- No dobrze, lepiej się czuję. - Zanim otworzył drzwi, chwyciła go za rękę. - Posłuchaj, Brandt. Ta grota. Ta, w której mnie przed laty odnalazłeś. Myślisz, że byś ją znalazł?

- Nie jestem pewien. Może. - Skrzywił się niecierpliwie. - To znaczy dzisiaj?

- Tak, dzisiaj - nalegała. - Teraz, już.

- To niemożliwe. Według Tolkena w pałacu coś się kroi. Jestem tam potrzebny.

Machnęła pogardliwie ręką, prawie rozwijając rękaw.

- Daj spokój pałacowi. Może poczekać.

Nie chciała mu mówić o swoich podejrzeniach, żeby nie budzić złudnych nadziei, które mogą się zaraz rozwiać i to tylko utwierdziłoby go w postanowieniu pozbycia się jej, ale widziała, że zamierzał odmówić jej prośbie, więc zaczęła mówić bez zastanowienia.

- Zawrzyjmy umowę. Jeśli zrobisz to, o co cię poproszę, zgodzę się wrócić do rodziny bez walki. - O Boże, co ona mówi? - Ja... Ja zgodzę się na wszystko w sprawie naszej przyszłości, niezależnie od tego, jak bezmyślne i idiotyczne według mnie to będzie.

No dobrze, może to ostatnie zdanie można było oględniej sformułować, biorąc pod uwagę, że chodziło o jego współpracę.

Zastanowił się, słysząc tak impulsywną ofertę, i popatrzył na nią uważnie.

- Ty? Wcielenie kłótni? Zrobisz, cokolwiek zechcę? -Zmrużył oczy. - Co jest grane, Miri?

- Wyjaśnię, gdy znajdziesz grootę. Mogę się mylić i wolę nic nie mówić, zanim nie będę pewna.

- To było bardzo dawno temu i nie wiem, czy pamiętam to miejsce.

- Proszę, Brandt. Musisz spróbować.

- A jeśli się zgodzę? Dotrzymasz warunków umowy? -Przemawiał głosem swojego dziadka, władcym i poważnym. - Wrócisz do rodziny natychmiast, gdy tylko znajdziemy się w pałacu?

Wzdrygnęła się, słysząc ultimatum, ale złożyła obietnicę, więc musiała jej dotrzymać.

- Tak, umowa stoi. - Zamknęła oczy w desperacji. A więc tak smakowało poświęcenie. Zdecydowanie jej się nie podobało, było zbyt gorzkie. - Wróć do rodziny natychmiast, gdy tylko znajdziemy się w pałacu.

- No to idziemy.

- Czekaj.

- Co znowu, Miri?

- Zanim ruszymy... - Zwilżyła wargi. - Chcę, żebyś mnie pocałował ostatni raz.

Zamarł.

- To jakiś podstęp?

Roześmiała się, w płonnej nadziei, że nie słyhać towarzyszących temu łez.

- Żaden podstęp. Po prostu pożegnalny całus, o nic więcej nie proszę.

Nie spierał się dłużej. Zaczepiwszy palcem za dekolt kombinezonu, przyciągnął ją do siebie, a potem pocałował, przepędzając jej z głowy wszelkie myśli oprócz potrzeby zatracenia się w jego objęciach. Jedno dotknięcie i straciła nawet pozory rozsądku.

On zareagował podobnie. W nieco innych okolicznościach ich uścisk rozwinąłby się do wiadomego finału. Jednak nie było na to czasu.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - zdołała wykrztusić. Podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła w blask słońca. Zamrugła gwałtownie. To z powodu jaskrawego światła. Na pewno nie z powodu łez. Odwróciła się do Brandta.

- Które?

Poszukiwania okazały się wyczerpujące. Chwilami Miri miała przemożną chęć się wycofać, ale stawka była zbyt wysoka.

- Jeszcze raz - poprosiła, kiedy znów na nic nie trafili.

- Wiem, że nie mogłaś odejść aż tak daleko od jeziora. Pewnie krzaki zarosły grotę - rzekł Brandt, ocierając pot z czoła. Stał i się rozejrzył. - Powinna być na zboczu wzgórza.

Wskazała ręką na las.

- Tam jeszcze nie byliśmy.

- To zbyt daleko - zaprotestował z wahaniem - ale kiedy cię szukałem, trwało to dość długo. Spróbujmy.

Kiedy podeszli bliżej, nagle przyspieszył.

- To tu. Jestem pewien.

I rzeczywiście, zobaczyli wąską szczelinę w zboczu. Miri gapiła się na nią, potrząsając głową. Jak, u diabła, zdołała się tam wcisnąć, nawet mając jedenaście lat? Podeszła do groty i opadła na kolana, wdzięczna za kombinezon. Ostrożnie wsunęła rękę w szczelinę i wygarnęła ze spągu garść żwiru. Modląc się w duchu, cofnęła się i powoli rozwarła dłoń. Słoneczny blask padł na trzymane przez nią kamienie.

- Czy ja dobrze myślę, co to jest? - spytała Brandta drżącym głosem.

Klęknął obok i westchnął przeciągle.

- Tylko jeśli uważasz, że to ametysty o nazwie Julianna Rose.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Skąd wiedziałaś? - zdumiał się Brandt, potrząsając głową.

Przyjrzała się kamieniom wprawnym okiem.

- To pierścionek zaręczynowy Julianny mnie naprowadził. Ten kamień, choć zupełnie nowej barwy, z jakiegoś powodu wydawał mi się znajomy. Nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego, dopóki nie przypomniałaś mi o tej grocie, w której ugrzęzłam, mając jedenaście lat. Wtedy zapaliło mi się światełko. Przypomniałam sobie dziwnie ubarwiony kamyk, który sobie zachowałam i... - Rzuciła mu się w ramiona. - Och, Brandt. Nie mogę uwierzyć, że znaleźliśmy ich więcej! Poczekaj, aż wszyscy się dowiedzą, że te kilka w pierścionku Julianny, to nie jedyne...

Przytulił ją mocno, opierając brodę na czubku jej głowy. Ile jeszcze razy będzie mógł ją tak trzymać, zanim zostanie zmuszony do pozbycia się jej?

- Kochanie, musimy to zachować w sekrecie, dopóki nie będziemy pewni, co tu jest.

- Oczywiście, nie pisnę ani słowa. Jak szybko zdołasz ściągnąć geologów?

- Dziś wieczorem będzie tu ekipa.

- Tak szybko? - Pojaśniała z radości. - A ile im zajmie sprawdzenie wielkości złoża? Do jutra? Do końca tygodnia?

- Zwolnij, Miri - ostrzegł. - To może potrwać. Dokładność jest ważniejsza niż szybkość.

- Ale jeśli to duże złożo? - spytała z nadzieją. - Czy to wystarczy?

-Może uratować Verdonię. - Uniósł rękę, żeby powstrzymać jej podniecone okrzyki. - Nie ekscytujmy się za bardzo. Musimy poczekać na wstępny raport. A potem jeszcze na końcowy. Bardzo dużo się może w tym czasie wydarzyć.

- Tymczasem może Julianna znalazła już coś w tych oskarżeniach przeciwko tobie. - Teraz to ona jemu przerwała. - Nie mów mi, żebym się pozbyła nadziei. Ja nie jestem takim ponurakiem i pesymistą jak ty. Wiem, że moja szwagierka cię oczyści, a nasze znalezisko to zalążek ogromnej kopalni ametystów Julianna Rose. Nie zwracaj sobie głowy przekonywaniem mnie, żebym w to za wcześnie nie wierzyła. Tak będzie. Tak postanowiłam.

Musiał się uśmiechnąć. Oczy Miri lśniły z podniecenia, policzki i wargi były zaróżowione, na nosie miała smugę brudu, a włosy opadały jej w nieładzie na plecy. Nie mógł się powstrzymać i pocałował ją. Zarumieniła się mocniej.

Niechętnie wypuścił ją z objęć, przykucnął przed szczeliną, wygarnął kolejną garść kamieni i wrzucił je do kieszeni. Nie mając odpowiedniego sprzętu, mógł jedynie powiedzieć, że ich wielkość, czystość i głębia barwy wyglądają obiecująco. Bardzo był ciekaw, co na ich temat powie jego naczelny szlifierz.

Rozejrzał się za odpowiednim kamieniem i skinął na Miri.

- Odwiń jeden z rękawów, chcę oznaczyć to miejsce. - Ostrą krawędzią krzemienia zrobił dziurę w materiale, oddarł kawał rękawa i przywiązał do pobliskiego krzaka. - Dobrze, chodźmy. Nic więcej już nie możemy zrobić. Muszę się zająć kryzysem w pałacu.

Rzuciła ostatnie, podekscytowane spojrzenie na grootę, po czym ruszyła za nim przez las. Tolken i pilot cierpliwie czekali obok helikoptera, gotowi do natychmiastowego startu. Lot do pałacu był bardzo krótki. Kiedy tylko wyszli z maszyny, podbiegł do nich gwardzista. Skłonił się pospiesznie.

- Wasza Wysokość, straszna chryja! - Przełknął gwałtownie, zdawszy sobie sprawę, co powiedział, i patrząc na Miri ze zgrozą. - Błagam o wybaczenie, pani.

Machnięciem ręki zbyła sprawę.

- O co chodzi? Co się dzieje?

- Chyba przyjechali aresztować księcia Brandta. Są tam w środku i się kłócą. - Odwrócił się do Brandta. - Bardzo proszę, Wasza Wysokość, powinien pan tam pójść.

- Powiadom ich, że już idę.

Poszedłby bezpośrednio za gwardzistą, gdyby Miri nie stanęła mu na drodze.

- Nie. Nie pójdziesz.

- Kochanie...

- Nie mów do mnie kochanie! - warknęła, łapiąc go za koszulę tak, że któryś szew puścił. - Posłuchaj. Ani myślę wysłuchiwać kolejnej tyrady o honorze, obowiązku i odpowiedzialności. A jeśli jeszcze kiedykolwiek padnie z twoich ust słowo „poświęcenie”, przysięgam, że zrobię coś takiego, że tego gorzko pożałujesz!

- Jestem, kim jestem - odparł po prostu.

- A ja kocham cię za to, jaki jesteś, Brandt, nawet za to, od czego krew mnie zalewa.

Uśmiechnął się słabo. -Dzięki.

- Jeśli tam pójdziesz, idę z tobą. Jako twoja żona. Potrząsnął głową, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Ani się waż! Choćbym miała cię związać i siłą zawlec do najbliższego kościoła, weźmiemy ślub i pozwolisz mi stanąć u swego boku, gdy będziesz walczył z oskarżeniami.

- Zawarłaś ze mną umowę, nie pamiętasz? - Zbladła nagle. Rzeczywiście zapomniała. - Obiecałaś wrócić do rodziny, a ja żądam dotrzymania słowa.

- Nie, proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię opuściła. Czuł się, jakby go cięła żyłką na plasterki.

- Kiedy moje imię zostanie oczyszczone...

- Nie! Wtedy już nikogo to nie obejdzie! Chcę teraz, kiedy to ma znaczenie, otwarcie zadeklarować swoją miłość, wykrzyknąć całemu światu, co do ciebie czuję - zakrzuszyła się łzami. - Proszę, Brandt. Wiem, że nie możesz powiedzieć wszystkiego, bo honor ci nie pozwala. Ale chcę, żebyś ty usłyszał to ode mnie. Tu. Teraz!

Pogładziła go delikatnie dłońmi po twarzy. Nigdy jeszcze nie widział u nikogo takiego wyrazu uwielbienia.

- Kocham cię - powiedziała. - Kocham cię bardziej, niż sądziłam, że to możliwe. Będę cię kochać do dnia mojej śmierci. A potem, nie wiem jak, ale będę cię kochać przez całą wieczność. Kiedy tam wejdziemy, stawić czoło wydarzeniom, jeśli mi pozwolisz, wykrzyczę moje uczucia całemu światu. Ale teraz, w tej chwili, moje uczucia są tylko dla ciebie.

Objął ją, wiedząc, że to ostatni raz. Ujął jej twarz w dłonie i starł łzy.

- Gdybym był wolnym człowiekiem, gdybym był choć trochę inny, też bym ci powiedział, że cię kocham. Ale dopóki jestem podejrzany, nie mogę. Nie mogę ci powiedzieć, że cię uwielbiam, że jesteś moim życiem, że jesteś dla mnie cenniejsza niż wszystkie ametysty Verdonii, że najbardziej w świecie pragnę, by spędzona z tobą noc wydała owoc, bym mógł patrzeć, jak nosisz moje dziecko. Nie mogę ci powiedzieć, jak tęsknię za możliwością spędzenia reszty życia na uszczęśliwianiu ciebie. - Pocałował ją, długo, na pożegnanie. - Gdyby to było właściwe, powiedziałbym ci, że kocham cię dziś, będę kochać jutro i przez wszystkie jutra, aż do końca czasu.

Gwardzista wrócił. Prawie biegł, zdradzając oznaki niecierpliwości, Brandt niechętnie puścił Miri.

- Muszę iść, kochanie.

- Przynajmniej pozwól mi stanąć przy tobie - poprosiła.

- Wasza Wysokość? - przerwał im gwardzista. - Powinienem powiedzieć, że rodzina księżniczki Miri jest w salonie razem ze wszystkimi. Domagają się jej obecności.

Jej zaskoczenie zmieniło się w czystą radość.

- Idealnie. Miałeś mnie odesłać do rodziny. Teraz oboje mamy to, czego chcieliśmy. - Spojrzała na siebie i aż się zachłysnęła. - Nie możemy tak stanąć przed nimi! Jestem pewna, że mogą poczekać pięć minut, żebyśmy się ogarnęli.

Zanim im się to udało, minęło bardziej pół godziny niż pięć minut. Ruszyli do salonu, trzymając się za ręce. Miri dla dodania sobie odwagi włożyła czerwony kostium „do walki” i buty na niebotycznie wysokim

obcasie, a włosy zwinęła w finezyjny węzeł. Wszystko razem nadawało jej bardzo książęcy wygląd.

- Musiałeś się ubrać na czarno? - spytała z lekką dezaprobatą. - Wyglądasz, jakbyś szedł na pogrzeb.

- To całkiem możliwe. - Zatrzymał się przed salonem, powstrzymując ruchem głowy wzbierającą w niej gwałtowną odpowiedź. - Nie wiem, co zastaniemy tam w środku, ale niezależnie od tego, co się będzie działo, nie chcę, żebyś się wtrącała.

Zacisnęła usta, ale potwierdziła skinieniem głowy.

- Spróbuję milczeć.

Uczciwie, choć nie całkiem zgodnie z jego żądaniem. Zza ciężkich, drewnianych drzwi dobiegały natarczywe głosy, męskie i kobiece. Weszli i zobaczyli istne pandemonium.

Najpierw wszystkich Montgomerych, całą rodzinę królewską. Był nawet John Arnaud, brat Julianny. Wszyscy stali półkolem przed biurkiem Brandta, za którym siedział drobny człowiek, przyciskający do piersi teczkę, jakby była kamizelką kuloodporną. Dyrektor komórki wykonawczej Rady Królewskiej, o ile się nie mylili. Wszyscy krzyczeli na niego, nawet matka Miri, Rachel. Z boku stała matka Alyssy, Angela, w objęciach - wyglądających na równie czułe co pomocne - Erika Sutherlanda.

- Ciekawe. Myślałem, że Erik jest pasierbem Angeli - powiedział Brandt cicho. - Ten uścisk nie wygląda zbyt synowsko.

Miri zaśmiała się delikatnie.

- Człowieku, ależ ty jesteś niedoinformowany. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, ale ty chyba pamiętasz, że ojciec Erika rozwiódł się z Angelą?

- Bardzo słabo. Alyssa miała... ile? Rok, może dwa? To by znaczyło, że Erik miał około dwudziestki.

- Mniej więcej. No to powód rozwodu księcia Fredericka z Angielką właśnie ją obejmuje.

- Czyli Alyssa...

- Jest córką Erika, nie księcia Frederica. - Oczy Miri zwięzły się w zamyśleniu. - Chciałabym wiedzieć, co tych dwoje tu robi. Co oni mają z tym wspólnego?

- Aż się boję spytać. Ale coś mi mówi, że to ma związek z abdykacją Erika na rzecz Alyssy. Gdyby tego nie zrobił, teraz by nie rządziła Celestia.

- A ty nie próbowałbyś się z nią ożenić, by wygrać elekcję.

- Było, minęło, kochanie. - Przyjrzał się grupie otaczającej radnego. - Do diabła, nie wiem, czy mam ochotę wkraczać w taką zawieruchę.

Jakby w odpowiedzi na tę uwagę, wszyscy popatrzyli na niego. Natychmiast zostali otoczeni przez Montgomerych, mówiących równocześnie. Brandt skrzyżował ręce na piersi i nastawił się na przeczekanie. Kiedy stało się jasne, że potrwałoby to bardzo długo, uniósł rękę. Ku jego zdumieniu umilkli.

- Co się tu dzieje? - spytał miękko.

Radny wstał szybko i uklonił się niezdarnie, nie bardzo wiedząc, co zrobić z teczką.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale uchwalono nakaz aresztowania pana.

Lander odwrócił się do nieszczęśnika.

- A my panu mówimy, że pan go nie aresztuje. Moja żona ma dowody...

- Że posiadane przez was dokumenty są sfałszowane -wtrąciła się Julianna, machając plikiem papierów. - I mogę to wykazać.

Radny skłonił głowę.

- Oczywiście, Wasza Wysokość, rozumiem pani stanowisko. Ale głosowaliśmy i...

- Będziecie musieli powtórzyć to głosowanie - odezwał się Merrick - bo podległa mi Służba Bezpieczeństwa nie zamierza wam pozwolić na aresztowanie von Folkego. Koniec dyskusji.

- Bardzo proszę, Wasze Książęce Mości - błagał radny. - Nie możecie tego zrobić. Rada Królewska ma dowody tych nieprawidłowości. Teraz, jak rozumiem, dysponujecie przeciwstawnymi dowodami, ale dopóki nie zostanie to wyjaśnione, nie mam wyboru. Otrzymałem wyraźne rozkazy. Lauren DeVida otrzymała pomoc w kradzieży ametystów. Wszystko wskazuje na księcia Brandta. Kontroluje kopalnie i odpowiada za transport surowych kamieni do Celestii. Musi zostać powstrzymany, zanim kraj straci ich jeszcze więcej. Wykryte niezgodności wskazują, że jest odpowiedzialny za bardzo poważne... hm... błędy w księgowości.

- Błędy w księgowości czy kradzieże? - spytał Brandt śmiertelnie spokojnym głosem.

- Kradzieże - pisnął radny.

- Eriku - ponagliła Angela. - Musisz im powiedzieć prawdę.

Wyjaśnij, o co chodzi z Lauren i dlaczego abdykowałeś.

Erik skinął głową, prostując się.

- Lauren DeVida miała pomoc. Ale to był mój ojciec, księżę Frederick. Po jego śmierci znalazłem obciążające go dokumenty. Ja... z tego powodu postanowiłem abdykować. - Głos mu zamarł. - Uważałem to za jedyne honorowe wyjście. W ramach zadośćuczynienia robiłem, co mogłem, żeby ją schwytać i doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości.

- Znalazłeś ją? - spytał Brandt, naprawdę zaciekawiony.

- Dwa dni temu. Jest w areszcie i czeka na ekstradycję do Verdonii. Zgodziła się współpracować. Nie odzyskamy wszystkich pieniędzy, ale i tak całkiem sporo.

Znów wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Brandt schylił głowę, próbując przyswoić sobie to wszystko.

- Poparli cię - powiedziała cicho Miri. - Bronili cię. Wszyscy.

- Ja... ja się tego nie spodziewałem. - Nie mógł się powstrzymać, przytulił ją. - Miałaś co do nich rację, kochanie. Oni są ludźmi honoru. Wszyscy.

- Czy w końcu uwierzyłeś, że twoje, nasze imię zostanie oczyszczone?

Roześmiał się nieco niepewnie.

-Tak.

- To mam pozwolenie, by coś ogłosić? - Pytaniu zadawał kłam łobuzerski błysk w jej oczach.

- Teraz, gdy mojego imienia nic już nie plami, zwalniam cię z umowy. Możesz robić, co chcesz.

- W takim razie... - Podniosła głos. - Czy zostaniesz moim mężem?

W pokoju zapadła cisza. Brandt westchnął teatralnie.

- Biorąc pod uwagę fakt, jak fatalnie nadszarpnęłaś moją reputację, nie widzę innego wyjścia. Tak, zostanę twoim mężem. Tym razem naprawdę.

W dniu ślubu Miri całe Avernos skąpane było w blasku słońca. Pałac pękał w szwach od tłumów gości z najdalszych zakamarków Verdonii, a każdy z nich znalazł pretekst, by wpaść do pokoju Miri z krótką wizytą przed ceremonią. Nie miała nic przeciwko temu. Z jej punktu widzenia dzielenie się własnym szczęściem zwiększało jeszcze jej radość z całej uroczystości.

W końcu przyszedł czas się ubierać i wszyscy wyszli, oprócz jej matki, Julianny i Alyssy, które pomagały pannie młodej się przygotować. Suknia ślubna, którą w końcu wybrała, była tak odmienna od poprzedniej, jak tylko się dało. Wykwintna, elegancka, romantyczna, o jakiej zawsze marzyła. W ramach świętowania odkrycia największego złoża ametystów Julianna Rose i Royal w historii Verdonii gorset i welon były nimi usiane. Stanowiły rodzaj oświadczenia. Każdy lśnił obietnicą przyszłego spokoju i dobrobytu kraju.

Kilka godzin później, stojąc w przedsionku kościoła przed rozpoczęciem ceremonii, nie mogła się powstrzymać, by nie próbować porównywać jej z poprzednią, w której uczestniczyła. Tylko, że się nie dało. Pierwsza była mroczna, pełna desperacji. Ta była jasna i radosna. Tamta wynikała z gorzkiego pragnienia zemsty. Ta z miłości, związku serc i dusz.

Tym razem jej drodze przez nawę nie towarzyszył grzmot organów, tylko delikatna gra kwartetu smyczkowego. Nie szła sama, lecz wsparta na ramieniu Landera. Uhonorował tę uroczystość, wkładając paradny mundur

razem z przypiętą do boku szablą. Kiedy podeszli do ołtarza, Lander podał jej dłoń Brandtowi. Potem podszedł do pierwszego rzędu ław, gdzie cała rodzina Montgomerych stała z wyrazem radosnej aprobaty na twarzach. Dołączył do żony Julianny i jej brata, finansowego geniusza, Johna Arnauda.

Przez warstwy tiulu zobaczyła delikatny uśmiech Brandta. Chwycił skraj welonu i zajrzał pod niego.

- Na wszelki wypadek sprawdzam - wyjaśnił gościom.

Śmiech przeleciał przez kościół. Poprzednia ceremonia była męcząca, zimna i wyrachowana, ta - pełna ciepła i humoru. Najbardziej wzruszające były słowa przysięgi wypowiedane z takim uczuciem i szczerością, że nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że to małżeństwo zawierane jest z miłości.

Po raz drugi ogłoszono ich mężem i żoną. Tym razem Brandt nie tylko uniósł jej welon, ale zdjął go całkowicie, uwalniając upięte włosy. Opadły falą na ramiona i plecy Miri. Wsunął palce w ich gęste sploty.

- Kocham cię - powiedział do żony. - Jesteś ważniejsza niż cokolwiek innego w moim życiu.

A potem ją pocałował. Była w tym obietnica honoru, obowiązku i odpowiedzialności. Brakowało tylko poświęcenia, zamiast którego odnaleźli uzdrowienie. Kiedy ją puścił, wszyscy w kościele mieli łzy w oczach.

Odwrócili się i ruszyli nawą do wyjścia. W tej chwili Lander wyszedł z ławki, stając im na drodze. Przez długą chwilę obaj mężczyźni stali, patrząc na siebie. Obaj mogli włożyć koronę. Napięcie rosło, stawało się nieznośne. Wtedy Lander zrobił coś, co wstrząsnęło Miri do głębi. Jed-

nym, krótkim, wprawnym ruchem dobył szabli i ofiarował ją Brandtowi. Kościół zamarł w absolutnym milczeniu.

Brandt zawahał się.

- Jesteś pewien? - zapytał tak cicho, że usłyszeli to tylko oni troje.

- Czas na zmiany. Verdonia cię potrzebuje.

- Ciebie i Merricka też. - Nie można było wątpić w szczerą

Brandta. - Będę wdzięczny za waszą pomoc.

- Otrzymasz ją.

Skinąwszy głową, Brandt przyjął szablę. Dał znak orkiestrze, która natychmiast wznowiła marsza, a państwo młodzi ruszyli do wyjścia. Nie czekając na gości w przedsionku, szybko wyszli na dwór. Powitał ich blask słońca. Brandt poprowadził Miri przez dziedziniec do ogrodu, w jego najdalszy kąt. Tam położył szablę na ławce. Miri patrzyła na broń.

- Kiedy Lander dał ci swoją szablę... czy miał na myśli to, co podejrzewam?

- To była deklaracja lojalności - potwierdził Brandt. - Jutro wieść o tym dotrze do najdalszych zakątków kraju. - Potrząsnął głową w niedowierzaniu. - Po prostu oddał mi elekcję.

- Mówiłam ci, że jest człowiekiem honoru.

- Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Verdonia potrzebuje go bardziej niż kiedykolwiek. Ja też. Nie będzie żałował dzisiejszego gestu.

Dopiero w tej chwili spostrzegła, jakie znaczenie ma miejsce, w którym stali.

- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie tu się to wszystko zaczęło? - Pokazała na ławkę. - To tu przemieniłam się w Alysę.

Brandt skrzyżował ręce na piersi.

- Zatoczyliśmy pełny krąg.

- Idealny moment na „żyli długo i szczęśliwie”? - spytała łamiącym się głosem.

Uśmiechnął się, powoli, miękko.

- A potrafisz wymyślić lepszy?

- Tylko jeden. - Wtuliła się w niego. - Pamiętasz naszą noc w chacie?

Noc ognia?

Roześmiał się.

- Jak mógłbym zapomnieć? Mam ją nieusuwalnie wpisaną w pamięć z wielu powodów. Ale głównie dzięki... -Pocałował ją powoli, z ledwie hamowaną namiętnością. Z sugestią tego, co będą dzielić, gdy dzień dobiegnie końca. -... temu, co nastąpiło po pożarze.

- Coś jeszcze się wydarzyło tamtej nocy. Coś bardzo specjalnego i nieoczekiwanego. - Chwyliła go za dłonie i położyła je na swoim brzuchu.

- Ktoś tam jest, mój kochany. Ktoś, kto chciałby się przywitać.